Numer 26. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 28 Czerwca 1931



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Wartość teściowej.

— Ach! jakiś ty szczęśliwy, że na takie upały masz teściową.

— No, a dlaczego?

— Bagatela! przecież gdy sobie o niej wspomnisz, to z pewnością robi ci się zaraz zimno.

U doktora.

— Od jak dawna, mój człowieku, czujecie taki zawrót głowy?

— A to, proszę wielmożnego konsyljarza, nie pamiętam: ino to wiem, że były najpierw Gody, a po Godach — Nowy Rok, a po Nowym Roku — Trzy Króle, a po Trzech Królach — Chrzciny, a po Chrzcinach — Wesele, a po Weselu — drugie Wesele, a teraz znowu dał Bóg Miłosierny Zapusty i bez to pewnie tak mi się wszystko we łbie kotłuje, że już i świata mało co widzę!

Wet za wet.

Dwaj dowcipni złodzieje siedzili w więzieniu zamknięci w jednej celi. Jeden złodziej ukradł pewnemu gospodarzowi krowę, drugi zaś złoty zegarek żydowi. Pierwszy z nich, chcąc podrażnić swojego towarzysza, pyta go:

— No, kolego, która godzina na twoim zegarku?

— Mnie się zdaje — odpowiada zagadnięty — że już czas krowy doić.

Duża porcja.

— Proszę pani gospodyni — nie mogę jeść mięsa, bo gorące!

— Ośle — dmuchaj!

— Boję się, proszę pani gospodyni.

— Czemu?

— Żebym z talerza nie zdmuchnął...

W sądzie.

— Czyście żonaty?

— A juści żeniaty.

— Czy byliście już karani?

— Adyć karany i wielokrotnie.

— Kiedy i za co byliście karani?

— Jak się człek czasem napije, to zaraz ma karę od swoi baby.

— No tak, ale to nie jest żadna kryminalna kara.

— Juści kremonialna nie jest, alem dostawał kijem lub miotłą.

Numer 26. Rok XIV. Kraków, dnia 28 czerwca 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Wiara i wiedza.

„Tak się kręcom, pot z nich ścieka — boleść lica przyobleka... Jak ich zwolnić od tych mąk“. (Stan. Wyspiański: »Wesele«). Czasy dzisiejsze są materjalnie tak ciężkie dla naszego społeczeństwa! Ogólnie zagląda niedostatek do naszych chat, nędza wyszczerza swe zęby, znikąd nie widać ratunku... Owszem ratunek jest, lecz my o nim zapominamy. Ratunek wskazuje nam wiedza i Wiara św. Wiedza poucza nas, jak życie nasze najroztropniej urządzić, jak z danej ciężkiej sytuacji najtrafniej wybrnąć. A wiedza, „nauka jest, jak niezmierzone morze: im więcej jej pijesz, tembardziej jesteś spragniony“. (Stefan Żeromski.) Wiara zaś odrywa nasz wzrok, skierowany wyłącznie ku tej szarzyźnie życia i kieruje go również ku Bogu.

Wielki myśliciel i poeta nasz, takie ostatnie, piękne słowa zamieścił w ostatnim liście do przyjaciela: „Drogi mój, masz zdanie moje: in hoc signo vinces (w tym znaku zwyciężysz), reszta nie zda się na nic, kto z Bogiem, z tym Bóg! A że mogą być indywidualne przesądy, ciemnoty, bezrozumy, ani myślę przeczyć; lecz one przejdą, a duch zbawczy pozostanie i zbawienie wyrobi“. (Zygmunt Krasiński.)

Są to słowa prawdziwej wiedzy i Wiary św. pełne. Prawdziwa bowiem wiedza i wiara zawsze się wspierają jak dwie serdecznie kochające się siostry. Stosunek zaś, jaki między temi siostrami zachodzi określił mędrzec katolicki temi słowami: „Non quero intellegere, ut credam, sed credo, ut intellegam — nie pragnę zrozumieć, bym wierzył, lecz wierzę bym rozumiał“. (Św. Anzelm z Cantenbury.)

A więc nie musimy zrozumieć tego w co wierzymy, owszem są tajemnice wiary, których słabym rozumem ogarnąć nie potrafimy, lecz wierzyć musimy, bo je nam podał Bóg-Prawda nieomylna.

Tak np. wierzymy, że Bóg istnieje. Przeciętny włościanin, dziewczyna lub młodzieniec po ukończeniu szkoły powszechnej, wierzą gorąco w istnienie Boga i jeśli według wiary swej żyć będą, cel swój spełnią godnie, będą szczęśliwi. Lecz się przytrafi, że jakiś obieżyświat, zły człowiek, książka, gazeta zaczynają przeczyć prawdzie. A już starożytni Rzymianie wielką prawdę powiedzieli: Plus negare potest asinus, quam probare filosophus, że więcej zaprzeczyć może osieł, jak udowodnić mędrzec. A gdy jeszcze do złego towarzystwa dołączy się złe życie, to danego człowieka, jak te błędne ogniki na moczarach, zaprowadzą w bagno życiowe, w toń, w której może na wieki zaginąć.

Podobnie ciemnota, chciwość, nędza często są przyczyną zapominania o Bogu, o duszy nieśmiertelnej. „Chłop posiada nieśmiertelną duszę, ale dusza ta dzisiaj rozpięta jest na indywidualnym działku ziemi, przybita do tego działka, jak do krzyża, krwawemi gwoździami nędzy i ciemnoty“. (Stefan Żeromski, Dz. grz. II, 232.)

W podobnych wypadkach z pomocą wierze przychodzi wiedza. I tak poczynającego powątpiewać poucza, że wszystko na świecie jest celowo i mądrze urządzone, a to mógł uskutecznić tylko wszechmocny Rozum, że wszechświat znajduje się w nieustannym ruchu, a ktoś musiał mu ruch ten nadać i wszechmocą swą nadal utrzymywać, że rzeczy i stworzenie miały swój początek, lecz ostatecznie muszą przechodzić od pierwszej przyczyny, którą nazywamy Bogiem. Dalej odczuwamy głos sumienia, są prawa moralne wrodzone naturze ludzkiej, a prawa te mógł tylko ustanowić Prawodawca-Bóg, mamy pojęcie o Bogu, którego również tylko On mógł nam udzielić. Badając dzieje starożytne, dowiaduje-

my się, że na Chrystusie Panu spełniły się proroctwa, czytając czasopisma, dowiadujemy się, że i dzisiaj zdarzają się cudowne uzdrowienia za sprawą N. M. P., żeby tylko Częstochowę i Lurd wymienić.

I odrywamy wzrok od trosk tej ziemi, w innych one się nam przedstawiają barwach i spełniają się pragnienia naszego powieściopisarza: „Do słońca wznieśmy serca. Niech na nas światło upragnione zlewa i ducha nam odradza. Niech się potoczy po ziemi lazurowy uśmiech wesela“. (Stefan Żeromski: Dzieje grzechu II, str. 278.)

Jan Pelczar.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Wstyd jakiś oniemił usta rycerskie, a boleść doznanego zawodu ciemną chmurą na czołach usiadła. Pierwszy Plichta poruszył się i przerwał milczenie:

— Zgnębiłeś mnie, kniaziu! — rzekł.

— Hańba! — zawołał Korecki. — Chocim oddany, Mohylów krew się kurzy, do wolności naszych się biorą, a oto nie jesteśmy już pewni i siedzib własnych!

— Nie gwałtuj tak, kochanieńki — zaśpiewał Kopyciński — a pozwól mnie zrozumieć to, czego wyrozumieć nie mogę: Hetman niewiernemu Turkowi Chocim oddał — widno co tak trzeba było zrobić, a nam nie szczekać na jaśnie wielmożnego hetmana, jeno wody do gęby wziąć i siedzieć cicho. Mohyla po karku dostał, bo rozkazowi jaśnie wielmożnego hetmana sprzeciwił się. To trudno! niech słucha — taki jest Zakon Boży. Źle też nie zrobił, że obiecał wam, kochanieńkie, rogów przytrzeć... Każdemu bykowi tak robią, gdy bodzie. Ale dlaczego Barszadę ma spalić, to tego już ja wyrozumieć nie mogę: ani to forteca, ani Mohylów powinowata, tylko własność prywatna, którą uszanować samemu królowi godzi się.

— Berszada — hm!... Waćpan nie wiesz, co jest Berszada? — rzekł kniaź.

— I dlatego pytam, kochanieńki.

— W niej się kozactwo zaporozkie kupi i stąd zagony zapuszcza w dziedziny padyszacha. „To gniazdo żmij — jak się Skinder-basza wyraził — musi być zniszczone“. Musi — rozumiesz waszmość!

— Ten Turek dobrze się wyraził, kochanieńki!

— U waćpana wszystko dobrze! — prysnął kniaź. — Szkoda, że skóry waścinej na sandały dla siebie nie zażądał — nie wiem jako wonczas byłoby.

— A niechby ją złupił, kochanieńki, jeżeli z tego dobro dla rzeczypospolitej wypaśćby mogło.

Książę Zbaraski wpatrzył się w Kopycińskiego, a kniaź tak dalej prawił:

— Dobro nie dobro — ale jako mi się widzi, Zbaraski kniaź zapytany być powinien, jego to własność, on jeden pozwoleństwo może dać lub nie dać! Ale hetman wiedział, że pozwoleństwa takiego nie będzie, a Dniestr zanadto mu się pogłębił, więc gwałtu dopełni i Skinder-baszy z Berszady iluminację sprawi. Kto wie, czy już podpis hetmański nie spoczął na podanym przez Turków pergaminie.

— Za wielką hańbą pokój byłby okupiony — rzucił Plichta.

— Hetman się cofnie, podpisu jeszcze niema — ktoś wtrącił.

— Wiem, że położony będzie — ozwał się Zamoyski.

Na to się podnosi książę Zbaraski i rzekł z mocą:

— Ja, mości panowie, wiem, że... nie będzie!...

— Aaa! — zabrzmiał okrzyk uradowania.

I wołania dały się słyszeć:

— O Berszadę pokój się rozbije!...

— Zbaraski przy prawie swem obstanie!

— Za Dniestr pójdziem!

— Zobaczy pan Żółkiewski, że i przeciw niemu zdębić się można.

— Niech żyje kniaź Jerzy! — podniósł się okrzyk.

Ale pana Zbaraskiego już nie było. Wyszedł z namiotu, w przechodzie tylko dotknął dłoni Kopycińskiego i szepnął:

— Poczciwe waćpan masz oczy. Wielką naukę wyczytałem w nich dla siebie.

— Co takiego, kochanieńki? — spytał pan Szymon.

Ale odpowiedział mu tętent kopyt. Zbaraski kniaź do swoich pułków odjechał.

Przed namiotem oczekiwał na księcia dworzanin jego.

— Piasecki! — szepnął książę.

— Co wasza miłość rozkaże?

Zbaraski dłoń położył na ramieniu ulubieńca i szeptać coś mu począł. Gorączkowe jakieś wydawał rozkazy, odpowiedzi nie słuchał, na zapytania nie pozwalał, tajemnicze zaś polecenie kończył słowami:

— Gdy słońce raz trzeci zajdzie, popioły niech ujrzy i pył!

Piasecki skłonił się — kniaź ręką na pożegnanie mu skinął i pospieszył do namiotu wodza.

— Hetman? — spytał strażnika.

— Śpi — odpowiedziano.

— Kurzański?

— Był tu przed chwilą, bo miód mu rebelję w żywocie zrobił.

— Idź i powiedz mu, że Zbaraski kniaź na niego czeka. Niech zaraz wyjdzie, w przyodziewku czy bez — a jeśli śpi, zbudź go wasze!...

Po chwili wysunął się z namiotu Kurzański.

— Czołem, panie krajczy koronny! Na miodek do mnie? hę? — spytał pan Jan.

— Nie do waćpana, lecz do hetmana mam rzecz... śpi?

— Abo co?

— Sprawa ważna, widzieć się z wodzem dziś jeszcze muszę.

— O — o — o!...

— Są wieści o Kantemirze.

— Plichcik wrócił?...

— Nie pytaj waść, a do hetmana mnie prowadź.

— Bez wielkiej to fatygi się obejdzie, bo od pewnego czasu hetman z Morfeuszem w niezgodzie jest. Ledwie do łoża się przytknie, wnet wstaje i abo pacierze szepce, abo wzdłuż namiotu chodzi, abo w oczy mi się wpatruje, iście jako dziewka rozmiłowana. Lecz choćby spał, to się zbudzi. Chodź waszmość za mną.

Zbliżyli się do sypialni hetmańskiej.

Poza opuszczonem płótnem namiotu słychać było kroki miarowe. Nocna lampa pełgała przećmiewana raz wraz cieniem ruchomym.

— Kto tam? — dał się słyszeć głos Żółkiewskiego.

— Zbaraski Jerzy — ozwał się kniaź!

— Aa!...

Płótno namiotu podniosło się i ukazała się wysoka postać hetmana. Brew miał ściągniętą, jakby z onej wizyty ponocnej rad nie był.

— Wybacz, wasza miłość — ozwał się Zbaraski — że o tak późnej godzinie was niepokoję — ale...

— Ale... wracasz waszmość od Koreckiego, gdzie Tomasz Zamoyski o niecofnionem postanowieniu mojem wam mówił.

— Tak wasza miłość!

— Ostaw nas, Jasiu! — zwrócił się hetman do Kurzańskiego.

Gdy został sam ze Zbaraskim, ozwał się w te słowa:

— Wiem, z czem waszmość przybywasz... O Berszadę ci chodzi?

— Tak, wasza miłość.

— A mnie o dobro rzeczypospolitej.

Tu sięgnął ręką po pergamin, przy łożu na stole leżący.

— Ciężkie warunki! — dodał — i wierz mi waszmość, że większy od ciebie kamień na piersi czuję.

— A! — zawołał uradowany kniaź — podpisu jeszcze waszej miłości niema.

Żółkiewski brew ściągnął.

— Niema, ale będzie! Dłoń się usuwa, palce wypowiadają posłuszeństwo, lecz przed rozkazem woli mojej ulegną... A ty, mości książę?...

— Chroń mnie Bóg, aby z mej przyczyny pokój rzeczypospolitej miał się odwlekać![1]) — zawołał Zbaraski.

— Dziękuję! — rzekł hetman.

— A jednak wasza miłość upokarzającego warunku spalenia Berszady nie podpiszesz...

— Dwa dni mam dane do namysłu... Waszmość czas skrócasz — odpowiedział Żółkiewski i sięgnął po inkaust.

Zbaraski ukląkł.

— Jeszcze jeden dzień zwłoki, a Berszada z powierzchni ziemi zniknie! — zawołał.

Hetman wpatrzył się w młodzieńczą twarz księcia.

— Nie rozumiem — rzekł krótko.

— Wydałem rozkaz Piaseckiemu, by przeraził mieszkańców nadejściem Turków i wywiódł ich z zagrożonego miasta. Wyjdą — i płomienie się zerwą, podłożone ręką wysłańców. Rozumiesz, wasza miłość? Wypadek!... o popioły nie upomni się nikt. Berszady nie będzie, lecz nie będzie i podpisu, przed którym cofają się palce waszej miłości...

Żółkiewskiemu wypadło pióro z rąk.

— Amen! — rzekł. — Piękny czyn wasz mość panu historja zapisze na kartach swoich[2]).

Pochylił się — i pocałunek na czoło młodego kniazia złożył.

W noc trzecią ogromna łuna oświetliła sklepienie niebieskie — to płonęła Barszada. Miasto podpalone ze wszech stron, w ciągu nocy jednej obróciło się w kupę gruzów. Skinder-basza uwierzył w wypadek pożaru, Żółkiewski traktat podpisał i nastąpił odwrót dwu potęg pogodzonych.

Z inną fantazją szło wojsko nad Dniestr, a z inną opuszczało brzegi błękitnej rzeki. Nie zadzwoniła pieśń, głuchy tylko pomruk przebiegł wzdłuż szeregów, gdy wyszły wodzów rozkazy, by zwijać namioty.

Obóz poruszył się jak chmura ciemna — i zagrzmiał.

Uprzedzając wybuch, Żółkiewski na czoło wojska wyjechał i w krótkich słowach rzekł o zawartym pokoju z Turcją, którego potrzebowała rzeczpospolita, zajęta będąc wojną północną. Ukochanego wodza witało i żegnało zawsze wojsko okrzykiem uniesienia — teraz on okrzyk się rwał, nie leciał burzą, nie odzywał się grzmotem jednolitym, lecz przeskakiwał szeregi, szarpał się i pękał, co czyniło go do jakiegoś warczenia podobnym.

Z niebywałem milczeniem zwijano obóz. Oczy wszystkich zdawały się unikać widoku Dniestru, poza którym z wielkim brzękiem i surm graniem, z biciem bębnów i dział hukiem, z jakąś pychą zwycięską, oddalały się szeregi wojsk padyszacha. Obie potęgi nie przekroczyły rzeki, nie zwiodły boju; obie odstępowały od brzegów, a jak odrębnym pochodem szły, jak inaczej święciły dzień pokoju! W szeregach polskich zgnębienie, jakiś tłumiony gniew, jakiś palący wstyd. Rycerstwo nie wdawało się w rozumowanie, obojętny był dla niego daleki dzień jutra, czuło tylko, że krzywdę mu wyrządzono, sponiewierano męstwo, zwątpione o zwycięstwie, które zwykło na ostrzach kopij swych nieść.

Nie pokonane, a zwalone w proch było — potężne, a ubezwładnione, jak dziecię.

Gdy ze zwiniętemi chorągwiami opuszczało zielone brzegi Dniestru, zdawało się, że Dniestr zaszumiał fal śmiechem. Warczały bębny tureckie, kotły i surmy grzmiały, a obóz polski w milczeniu się posuwał, idąc szlakiem, którym szedł miesiąc temu dumny, hardy, do boju się rwący, pełen kawalerskiej fantazji, zwycięstwa pewny!... Niejeden z rotmistrzów czy pułkowników za siebie spojrzał i uczuł skurcz serca. Równiny mołdawskie roiły się jeszcze od szarańczy wojsk muzułmańskich; wśród równin tych miał powiać wicher kopij polskich, otrzeć się pierś o pierś, miecz o miecz szczęknąć i błysnąć purpurą krwi; wśród równin onych miało uderzyć kilkanaście tysięcy serc, w pysznym boju się zmierzyć z niepokonanym dotąd zdobywcą świata i w oczy padyszacha blady strach rzucić i nakazać szacunek dla szabli polskiej. Pierwsze to zetknięcie się było rzeczypospolitej z Portą... i ustąpiła rzeczpospolita. Oddano Chocim, spalono Berszadę, groźbę panom polskim rzucono.

— Nie strzymam! — zawołał Korecki, zwracając nagle ku Dniestrowi rumaka.

— Co waszmość zamyślasz? — spytał Plichta.

— Ba! — zgrzytnął kniaź — gdyby zamiar każdy można było w czyn przemienić, gdyby można było nie strzymać i — wykonać, rebelję bym podniósł, pułki zawrócił, przeszedł Dniestr i Skinder-baszy na karku siadł, krwawo mu za śmierć Iwoni płacąc. Plichta! Plichta! — wołał — targając niecierpliwie wodze swojego konia. — Czy nie cisnąć w szeregi piorunem słów, czerwoną płachtą buntu nie powiać?... Dopóki Dniestr widny, jeden zawój turecki widny — czas jeszcze!

— Bójże się waszmość Boga!

— Boję się i dlatego czart mnie pali!

— I mnie po sercu dźga!...

— Plichta!

— Korecki!

Szatan buntu przelatywał od ucha do ucha rycerzy i szeptał:

„Czas... Chwila jedna... Rzuć płomię, a pożar wzniecisz!... Widzisz jak idą pochmurni i za Dniestr

[1]) Dosłowne wyrazy ks. Zbaraskiego.
[2]) Historyczne.

patrzą, jak szable smutnie dzwonią, jaki serce żal ściska!... jak zatrzymują spojrzenia na tobie, Korecki! na tobie Plichta!... Okrzyk jeden, a wrócą i zmażą srom buszański!“

Dreszcz potrząsał ciałami rycerzy, drgały szable, dygotały pancerze, aż rumaki pląsać zaczęły, przebierać nogami i rżeć!... Oczy kniazia i Plichty jak cztery gromnice gorzały, krzyżowały się myśli, niby błyskawice dwóch chmur i widać było, że lada chwila zmienią się w grom czynu. A Dniestr szumiał, a pułki otomańskie znikały w mgle, a polskie zastępy oddalały się leniwie i w ciszy ogromnej.

— Plichta!

— Korecki!...

— Do szeregów! — nagle dał się słyszeć głos tuż przy nich.

Drgnęli obaj i spojrzeli przed siebie.

O kroków kilka przed nimi Żółkiewski stał i skinieniem buławy słał rozkaz.

Na krótką chwilę, jak mgnienie powieki, podniósł się zły duch buntu, targnął, zaskowytał, zamigotał płomykiem zielonym w źrenicach obu rycerzy, krwawymi wypiekami na licach błysnął, dreszczem przez wargi przebiegł — i rozwiał się w pył przed majestatem złotej buławy hetmana.

Korecki i Plichta wrócili do pułków swoich. Po dwutygodniowem dopiero oddaleniu się od Dniestru, miały prawo zastępy pańskie opuścić obóz i pożegnać naczelnego wodza.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Bartka Pazdrygę spotkało nieszczęście. Nie to, ze ukradł Walantemu Omędze 15 kur, ale ze się dał uchwycić na kradziezy i potem stawać do sądu, jakby co złego ucynił. Bo przecie wiadomo, ze na świecie prawie wszyscy kradną, ino w tem róźnica, ze nie wszyćkich za to do hareśtu wsadzają. Przecie są ludzie, którzy byli ministrami i za kradzione piniądze grontu se przykupili, a nikt ich za to do hareśtu nie wsadził, ale chodzą sobie wolni po świecie i na złodziejów pyskują. Ale Bartek nie był ministrem, więc go przychwycili i do sądu powlekli.

Najciekawsemi ludźmi na świecie są sędziowie. Taki sędzia jak uźry porządnego cłowieka, który się na niescęściu dał przyłapać, to zarazby wszyćko chciał wiedzieć. Tak i Bartków sędzia pyta się zaraz Bartka, siła ma lat?

— Więc macie 55 lat? — powiada sędzia.

— Tak, panie sędzio! — Bartek na to. — Starość nie radość.

— Czy wiecie, że za czyn popełniony czeka was surowa kara?

— Tak! Bóg za złe karze, a za dobre wynagradza.

— Co was do tej kradzieży spowodowało?

— Ot! Bez pracy niema kołaczy.

— Kradzież to przecież nie praca...

— Proszę pana sędziego: Pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki!

— Głupstwa gadacie! Odpowiadajcie na pytania!

— Tak, głupich nie sieją, sami się rodzą.

— Przyznaliście się, że już was raz sąd za kradzież karał.

— Tak! To było już dawno, kiedym był jeszcze młody. Każdy początek jest trudny, panie sędzio.

— A wiecie wy, że macie mówić szczerą prawdę?

— Tak, panie sędzio. Wiem, wiem. Prawda zawsze na wierzch wyjdzie.

— Powiedzcie mi, o której porze zakradliście się po owe kury?

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, panie sędzio; ja sobie myślę, że Boga oszukać nie można!

— Odpowiadajcie krótko na moje pytania!

— Panie sędzio! Co się prędko wznieci, to niedługo świeci!

— Odpowiadajcie tylko na to, o co się was pytam — zawołał zniecierpliwony sędzia — a nie gadajcie rzeczy niepotrzebnych!

— Z przeproseniém prześwietnego sądu: Nie odrazu Kraków zbudowano, a co nagle, to po djable!

— Jeżeli nie będziecie odpowiadali na moje pytania, to was za nieposłuszeństwo każę do kozy wsadzić.

— Panie sędzio: Z dużej chmury mały deszcz! A co tobie nie miło, nie czyń drugiemu!

— Czy przyznajecie się więc, żeście skradli 15 kur?

— Panie sędzio! Co za wiele, to niezdrowo. Co prawda tyle nie było, ale tak na pewniaka nie wiem, bom nie piśmienny i nie rachunkowy.

— Czy były stare, czy młode?

— Skądże ja to mam wiedzieć? Przecie żadna z nich nie miała mentryki przy sobie. Zreśtą: Nie godzi się pogardzać staremi, bo każdy będzie starym. Choć i to święta prawda, że jest cnota nad cnotami, trzymać język za zębami!

Na takie powiedzenie nawet sam prześwietny sędzia się roześmiał, a Bartek powiada:

— Panie sędzio, przepraszam, że tak...

— Co chcecie powiedzieć?...

— Ze śmiechu wielkiego najłatwiej poznać głupiego.

Sędzia udał, że nie rozumi powiedzenia Bartka i przystąpił do wydawania wyroku.

— Za kradzież — powiada — której się dopuściliście, skazuje was sąd na cztery tygodnie aresztu i koszta. Czy macie przeciw temu co do powiedzenia?

— Czego nie można uniknąć, trzeba cierpliwie znosić. Toć pan sędzia wie: Dał ci Bóg dary, używajże miary, a co te koszta to... starczyło na ryby, to i na pieprz starczy. Ale i to panu sędziemu powiem: że kto pod kim dołki kopie, sam w nie łatwo wpada.

— Czy zgadzacie się na karę?

— Ha, cóż robić! Staropolska jest to cnota: przed nikim nie zamknąć wrota!

I posed Bartek do hareśtu, nie latego, jakoby co złego ucynił, ino latego, ze sędzia nie umiał usanować staropolskich przysłowiów.

Kwiat paproci Janka.



Opowiadali mu, gdy był jeszcze maleńki, że w noc świętego Jana gdzieś tam w głębi boru odwiecznego zakwita raz do roku przecudny kwiat paproci. Opowiadali mu, że kiedy północ nadejdzie, ukazuje się wśród liści paproci kwiat takiej przecudnej piękności, jakiego jeszcze oko ludzkie nie widziało i o jakim ucho ludzkie nie słyszało. A kto ten kwiat w noc ową zobaczy i zerwie go, zazna w życiu tyle szczęścia, a szczęścia tak wielkiego, o jakiem nawet w najśmielszych myślach marzyć się nie odważył. Czego zapragnie, to mu się natychmiast stanie. Zechce mieć pieniądze, będzie ich miał tyle, że ani wiedział nie będzie, co z niemi uczynić. Zechce rozkoszować się miłością, na życzenie jego stanie cud-dziewica z włosami niby len, z ustami by polne fiołki, a takimi gorącemi i skoremi do pocałunków, że aż na samą myśl ciarki z radości przechodzą. Zechce mieć konie i powóz wspaniały, a natychmiast staną przed nim ogniste rumaki, zaprzężone do pozłocistej karety. Skinie, a na stołach jego zjawią się najwybredniejsze potrawy i napoje. Słowem, czego zapragnie, o czem dusza jego zamarzy, miał to będzie nieodzownie i bez najmniejszej zwłoki.

Ale że największymi wrogami człowieka są wszelakie złe duchy, więc też czynią wszystko, aby takie szczęście nie zawitało. Wiedząc, że daje je ów świętojański kwiat paproci, strzegą go ze wszystkich sił swoich, używając celem przeszkodzenia człowiekowi zdobycia szczęścia najróżnorodniejszych sposobów. I jak opowiadano Jankowi, jeszcze się nie znalazł na świecie taki człowiek, któryby ów kwiat zerwał, któryby owo szczęście posiadł.

A dlaczego? — myślał sobie Janek. — Oto dlatego, że szli po szczęście owo ludzie dorośli, uzbrojeni na wszelkie ewentualności. Djabeł nie głupi, spostrzegł zaraz co się święci, i nim śmiałek dotarł do paproci, mającej w ową noc szczęściem zakwitnąć, już mu szatan kark skręcał i nie dopuszczał do owego skarbu. Ginęli bogaci, ginęli szaraczkowie, ale nikt szczęścia owego nie osiągnął.

A on, Janek, mikrny jest i biedota wielka. Pójdzie boso w jednej koszulinie i zgrzebnych portcętach. Djabeł się nie pozna na rzeczy i przeszkód mu czynił nie będzie. Wszak djabeł nie głupi, to przecież ani przypuszczał nie będzie, że taka mizerota ma tak dużo odwagi, aby z piekłem iść w zawody. Pójdzie poszukać szczęścia i znajdzie je. Znajdzie, ale nie dla siebie. Wszak tyle jest nędzy na świecie, a nie ma jej kto ulżyć. On, znalazłszy szczęście, podzieli się niem z tymi, którzy go w życiu nie zaznali.

Wymknął się Janek późnym wieczorem z chaty i zaszył się w głąb cienistego boru. Szedł jedną godzinę i drugą, a jak długo szedł, sam nie wiedział, bo nietylko że zegarka przy sobie nie miał, ale go jeszcze nigdy w życiu nie widział. Musiało jednak dość czasu upłynąć, bo zmordował się okrutecznie. Usiadł więc pod wysoką sosną, niedaleko której rosła rozłożysta paproć, i postanowił czekać północy, aby szczęście swoje osiągnąć. Widocznie słuszne były jego przewidywania, bo ani razu w drodze djabeł nie stanął mu na przeszkodzie. Czasem tylko z pod nóg jego zerwał się zbudzony zając i pomknął, ani się nie oglądnąwszy, w dal leśną, to znów zatrzepotała wśród gałęzi jakaś ptaszyna leśna i ostrzegłszy przeraźliwym krzykiem swe towarzy-

szki, pofrunęła w bezpieczniejsze okolice. Jedynie ostrężyny i głogi raniły bose stopy Janka, ale wiedział on o tem, że to nie djabelskie sprawki, ale zwykły zbieg okoliczności. Gdyby był poszedł nieco dalej, ani jeden cierń nóżąt jegoby nie pokaleczył.

Usiadł więc pod pniem wysokiej sosny i postanowił czekać na owo szczęście, o którem mu tyle naopowiadano. Zwiesił młodą główkę na piersi i w parę chwil zasnął ze znużenia.

A może i nie zasnął, bo ledwie usiadł, już ku niemu zbliżył się djabeł taki czarny, jak sadza w kominie, a z jęzorem takim czerwonym, jak wargi u tej panienki, co to wczoraj przyjechała z miasta, a o której powiadają, że se je codzień czerwonym atramentem smaruje, i z ogonem takim długim, jak ogon u plebańskiego buhaja.

Aliści ledwie zjawił się przed nim djabeł, a już po drugiej stronie jego mikrnej istoty ukazał się pozłocisty anioł. I co djabeł chce mu jakiego psikusa uczynić, to w tejże chwili anioł daje djabłowi prztyczka w nos, tak, że ten poczyna niemiłosiernie kichać i kicha bez upamiętania. Jak długo takie zmaganie się anioła z djabłem trwało, Janek nie wiedział. Musiało jednak trwać długo, bo chłopczyna tym niecodziennym widokiem ubawił się setnie.

I nie wiadomo, jak długoby to było trwało, gdyby się była nie ukazała jakaś jasna pani, podobniejsza raczej do mgły przejrzystej, aniżeli do żyjącej istoty. Na jej widok i djabeł i anioł znikli gdzieś w puszczy leśnej. Janek byłby się z radością rzucił do stóp świętej pani, ale owładnęła nim jakaś niemoc, że ani się poruszyć nie zdołał. Wpił tylko wzrok swój w przecudowne oblicze niebiańskiej dziewicy i biednym wzrokiem pytał o jej życzenia. Wszystkoby dla niej uczynił! Wszak ludzie dla byle pudła ziemskiego porywają się na najhazardowniejsze czyny, a on dla takiej przecudownej niebiańskiej dziewicy miałby się choć chwilę wahać, nawet na śmierć samą, gdyby tej śmierci od niego zażądała.

Ale jasna panieka zamiast wydawać mu rozkazy i żądać od niego spełnienia ich, ona przemiłym głosem zapytała jego, hudziaka, czegoby sobie życzył w tej tu puszczy leśnej o północnej godzinie.

— Szczęścia! — wyszeptał Janek drżącemi usty.

— Szczęścia? Szczęścia nie szukać ci po lasach, nie szukać po górach, nie chodzić ci po nie za siódme rzeki. Szczęście każdy człowiek nosi sam w swojem sercu. Ma je u siebie, ale go znaleźć nie umie! Prawdziwe szczęście daje tylko praca, daje sumienne spełnianie obowiązków. Kto to czyni, szczęście znajdzie, ale nie w noc świętojańską w głębi ciemnego boru, ale w domu własnym, w chatynce rodnej, wśród swej rodziny i swoich najbliższych. Wracaj, dziecino, do domu i tam szukaj szczęścia swego.

Rzekłszy to, święta panienka znikła, a gdy się Janek obudził, już był dzień jasny.

I powrócił Janek do domu i czynił tak, jak mu to jasna panienka poleciła. Pracował, ile sił mu starczyło, na każdym kroku spełniał swe obowiązki, a kiedy dorósł, zyskał sobie poważanie u ludzi i błogosławieństwo Boże. Błogosławieństwo Boże spływało nań podwójnie, gdyż nietylko mienie jego powiększało się z dniem każdym, ale gdy pojął za żonę dorodną wiejską dziewoję, nie podciętą na łbie i nie podciętą u dołu, to Bóg mu błogosławił tak, że co rok to był prorok.

Antoni St. Bassara.



W świętojański wieczór.

(Ballada.)

W świętojański wieczór, z myślą o kochanku,
Gdy księżyc na niebie zabłysnął w chmur wianku,
Gdy z łąk, pól, traw i zbóż
Z ogrodu cudnych róż
Woń miła wokoło pachniała,
Szła dziewczyna młoda, by według zwyczaju,
Swoje rzucać wianki na wodę w ruczaju;
Uplotła dwa wianki,
Jak czynią kochanki,
Gdy serce miłością ich pała!... —
I przyszła nad strumyk, jakby do zwierciadła;
Jej postać urocza już w wodę się wkradła
I w wodzie dziewica
Ma tak cudne lica,
Jako ta w jeziorze rusałka....
A woda z szelestem srebrzystym strumyka
Koło niej przebiega i dalej umyka, —
A czasem w swym biegu
Zapluska przy brzegu,
Gdy mała zawadzi jej skałka!...
Tak wtedy z rąk drżeniem rzuca dziewczę młode
Wianeczki obydwa, jak je miała, w wodę —
Z zachwytem śledziła,
Czy woda złączyła
Te wianki — ich serca — do siebie!...
Lecz wianek kochanka popłynął z strumykiem —
Jej zaś na nieszczęście został za kamykiem...
Tak wtedy, jak stała
Ręce załamała
I wzrok utopiła w niebie!...
A w duszy strapionej odezwał się ból srogi
I ciało zadrżało — zachwiały się nogi.
A oczka chabrowe
Łezki kryształowe
Zalały z żalu.... tęsknoty...
A z ust jej niewinnych, gdy duszę ból targa,
Słowa się wydarły, jakby jaka skarga:
Ach! Czemuż, mój Boże!
Człowiek mieć nie może
To, o czem sen marzy złoty?!...

Henryk Biłka.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Hiszpanja V.

W czasie walki byków najwyżsi dygnitarze państwa mieliby sobie za ujmę zasiadać gdzieś w loży w bezpiecznem miejscu. Umieszczają się więc



Quadrilla na arenie.

w pierwszym rzędzie, gdzie nieraz niebardzo jest bezpiecznie. Zdarza się bowiem, że rozszalałe zwierzę omija zapaśników arenowych, a wali wprost ku zgromadzonej publiczności. Ale publiczność ta nie ucieka z zajmowanych miejsc, lecz z całym spokojem przypatruje się biegowi dalszych wypadków, gdyż wie, że na arenie czuwają quadrille, którzy stanowią niejako mur obronny dla zgromadzonej publiczności.

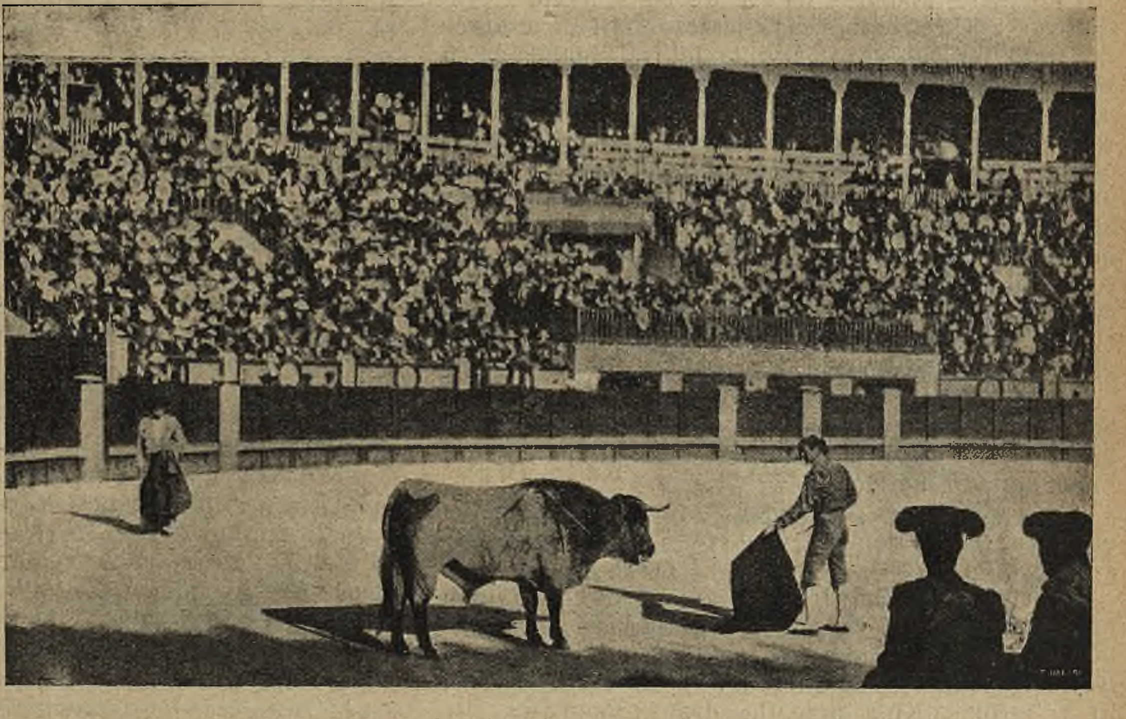
W odświętnie przystrojonej arenie igrają na śmierć i życie doborowe byki z wyborną i starannie dobraną quadrillą. Zadaniem dwunastu zuchów na koniach jest obrona od nagłej napaści rozjuszonego zwierza, ich szczytnym obowiązkiem poledz w obronie dostojnych gości, a w każdym razie zasłonić ich własną osobą. Siedzą oni na rosłych i sprawnych dzianetach i powinni piką odeprzeć rogatego zwierza. Ta przesada w odwadze, owo umyślne wyszukiwanie niebezpieczeństwa elektryzuje tłumy i odpowiada hiszpańskiej naturze.

Płachty w rękach pieszych zapaśników powiewają, migają przed oczyma buhaja, zdają się dwoić i troić ; wokół pikadorowie podjeżdżają na chudych, starych, spracowanych szkapach i kłują byka w kark ostrzem dzidy, nie dłuższem nad pół cala. Według przepisów zwierz, któremu zadano trzy takie rany, musi zginąć w arenie; wprowadzić go już do stajen nie wolno. Zwykle uśmierca on, a przynajmniej powala i rani kilka koni; trupy, które służba natychmiast ogołaca z siodła i uździenicy, zostają na miejscu; żywe lub zgonu bliskie wierzchowce wymykają się przez jedną z bram, otwartą na chwilę, a z kolei występują na widownię „banderilleros". Oddają służbie płachty, biorą w ręce patyki zaopatrzone haczykami i wbijają je w gruby, już krwią ociekły kark byka.

Słońce, upał, roznoszone i sprzedawane piwo, wódka, skoczna muzyka, podniecają ogólny zapał. Pospólstwo domaga się dowodów coraz to szaleńszej odwagi, stawiając niejednokrotnie wprost szaleńcze wymagania. Kiedy już kilka koni drga i rzuca się na ziemi w przedśmiertnych kurczach, tłum dopomina się o nowe ofiary. Nie obchodzi go nic, czy to będzie zwierzę, czy człowiek! on chce nasycić tylko wzrok swój widokiem krwi i przedśmiertnych drgawek.

Nareszcie przewodniczący tej krwawej zabawy daje znak. Wszyscy zapaśnicy ustępują miejsca temu, kto ze szpadą w jednej, a czerwoną chorągiewką w drugiej ręce ma poigrać jeszcze chwilę, zanim biednej ofierze zada cios śmiertelny.

Zajęcie widzów ani na chwilę nie słabnie; każdy najmniejszy ruch, najlżejsza zmiana postawy, nieznaczny podskok czy uskok są przewidziane, opisane w wielotomowych dziełach, należycie ocenione przez widzów, głośno chwalone lub jeszcze głośniej ganione. Znawcy zamieniają się w surowych sędziów, nie przepuszczają najdrobniejszego uchybienia przeciwko prawidłom sztuki, udzielają rad, wskazówek. Oczywiście zapaśnik rad tych, ani wskazówek nie słucha, gdyż padają one chaotycznie, dochodzą do jego uszu tylko jako wrzawa niezrozumiała. W każdym razie jednak rozróżnia w nich po-



Przed śmiertelnym ciosem.



Wywlekanie zabitego byka.

chwałę czy naganę dla siebie. Pochwała pobudza go do jeszcze oryginalniejszych wyczynów, nagana budzi wściekłość, która ma się skupić na niewinnem zwierzęciu.

Nareszcie nadchodzi chwila decydująca: dwaj przeciwnicy stają przed sobą oko w oko, z tą tylko różnicą, że byk już jest osłabiony około 10-minutową walką i upływem krwi, podczas gdy człowiek sił swoich nie nadwerężył jeszcze do tego stopnia. Ale i teraz jeszcze może zajść niespodzianka. Niech tylko zapaśnik nie wymierzy odrazu śmiertelnego ciosu, niech tylko zrani byka, choćby i śmiertelnie, to ten jeszcze w ostatniej chwili swego życia może go zawdziać na rogi i życia pozbawić. Zdarzają się też wypadki, że człowiek i zwierzę niemal równocześnie kończą swe życie. Ale wypadki te nie są częste, boć przecie człowiek, przynajmniej pozornie, góruje rozumem nad zwierzęciem, to nie da się tak łatwo podejść.

Wreszcie tragiczne widowisko skończone. Na widowni zrywa się burza oklasków, zwycięski zapaśnik kłania się na wszystkie strony. Publiczność podniecona opuszcza trybuny, żywo komentując krwawe poczynania zapaśników, lub podnosząc bohaterską obronę nieszczęśliwego byka. Na arenę wbiega teraz służba i uprząta zwłoki pokonanego zwierzęcia, zasypuje ślady krwi piaskiem i porządkuje wszystko, aby arena była znów należycie przygotowana na przyszłe zapasy.

Ciąg dalszy nastąpi.

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Dwaj jego towarzysze znów zajęli stanowiska przy oknach, by być biernymi świadkami krwawej rzezi, której nie mogli przeszkodzić. Po pewnej chwili ścichło beczenie kóz i capów, może dlatego, że część została pożarta, a część uciekła poza palisadę, gdzie czekała je śmierć niepowetowana, ale w tej chwili Godfrey zbyt był zajęty grozą chwili bieżącej, by się kłopotać o przyszłość.

Nie miał zresztą żadnego sposobu przeszkodzenia dziełu zniszczenia, dokonywanemu niemal w jego oczach.

Po jakiej godzinie ustały wściekłe wycia i ryki. Godfrey i Karefinotu wciąż jeszcze stali na czatach. Zdawało im się, że olbrzymie jakieś cienie przesuwają się wzdłuż palisady, a równocześnie odgłos innych kroków dobiegł ich uszu. Prawdopodobnie nowe stado drapieżców, zwietrzywszy krew, biegnie ku osadzie, by wziąć udział w obfitej uczcie. Wokoło drzewa Wilhelma rozpoczęło się bieganie, przy akompanjamencie głuchych ryków i gniewnych pomruków. Mężczyźni, oswoiwszy wzrok z ciemnością, rozróżniali cienie olbrzymich drapieżców, okrążających drzewo w dzikich podskokach. Więc całe stado zwierząt domowych nie starczyło do zaspokojenia ich głodu, czy żądzy krwi!

Godfrey i jego towarzysze stali bez ruchu. Jeśli będą się zachowywać całkiem spokojnie, to może się im przecież uda zmylić czujność dzikich bestyj i uniknąć napadu na domostwo.

Nieszczęśliwy przypadek zdradził jednak ich obecność, narażając na większe jeszcze niebezpieczeństwo.

Tartelett mianowicie, ulegając jakiejś halucynacji, przekonany, że tygrys wdrapuje się na okno, porwał rewolwer i nie wiedząc, co czyni, zanim Godfrey i Karefinotu zdołali mu wyrwać broń, wystrzelił w mrok... Kula przebiła drzwi domostwa, powodując huk straszliwy.

— Nieszczęsny głupcze! — krzyknął Godfrey, rzucając się ku profesorowi pięknych form, któremu Karefinotu wyrwał już broń.

Zapóźno... Dzikie bestje, zaalarmowane wystrzałem, znów zaczęły ryczeć i wyć... Słychać było, jak potężne ich łapy z wściekłością szarpią korę drzew-olbrzymów... Uderzenia ich wstrząsały drzwiami domostwa, które nie były dość silne, by się oprzeć takim atakom.

— Brońmy się! — krzyknął Godfrey i ze strzelbą na ramieniu, wsypawszy do kieszeni pasa garść nabojów, znów zajął poprzednie stanowisko przy oknie.

Ku najwyższemu jego zdumieniu, Karefinotu uczynił to samo. Tak! Murzyn, który nigdy dotąd nie tknął był tej broni, zdjął ze ściany drugą strzelbę, naładował kieszeń nabojami i stanął przy drugiem oknie.

Zaczęła się strzelanina nie na żarty! Z obu okien padał jeden strzał po drugim! Przy błysku zapalonego prochu, obaj mężczyźni mogli rozróżnić swych napastników.

W obrębie palisady, z wściekłem wyciem, rozdrażnione strzałami, miotały się lwy, tygrysy, hyjeny i pantery, których mogło być ze dwadzieścia. Niektóre padały, ugodzone kulami, lecz potworne ich ryki, wywołane bólem zwabią najprawdopodobniej innych drapieżców... Słychać już nawet było ryki i wycia w pewnej odległości, z każdą chwilą bliższe i bliższe. Jakgdyby całą menażerję wypuszczono nagle na spokojną wyspę!

Nie oglądając się na Tarteletta, który i tak nie mógł się na nic przydać, obaj mężczyźni, którzy nie stracili zimnej krwi i rozwagi, starali się mierzyć celnie, by nie marnować nabojów strzelaniem na ślepo. Czekali przeto, aż jakiś dziki zwierz wyłoni się z mroku, a wtedy padał trafny strzał, jak miarkowali z wycia ugodzonego zwierzęcia...

Po upływie dalszego kwadransa zdawało się uciszać. Drapieżce postanowiły widać zaprzestać dalszego ataku, który tylu ich towarzyszy przypłaciło

życiem, a może czekały świtu, by wśród warunków bardziej sprzyjających ponowić szturm.

Na wszelki wypadek obaj mężczyźni trwali na swych stanowiskach. Murzyn posługiwał się bronią



Wtedy rozległ się dobrze wymierzony strzał..

z taką samą zręcznością, jak Godfrey. Jeśli to był tylko zmysł naśladowczy, to prawdziwie godzien był najwyższego podziwu.

O drugiej po północy rozpoczął się nowy atak do drzewa, zacieklejszy, niż poprzednio. Niebezpieczeństwo się spotęgowało: pozycję we wnętrzu drzewa należało uważać za straconą. Ryki z pewnej oddali i tupot licznych łap zapowiadały zbliżanie się nowej gromady dzikich bestyj.

Teraz zaczęły się dobijać do drzwi domostwa, zwęszywszy ludzi. Nie mogło ulegać żadnej wątpliwości, że lada chwila, a drzwi runą pod naporem potężnych łap.

Godfrey i Murzyn zeskoczyli z okien. Już drwi chwiały się bardzo silnie, a gorący oddech zawiewał przez ich szczeliny...

Godfrey przy pomocy Karefinota starał się je umocnić palami, na których wsparte były ich prycze, lecz okazało się, że na niewiele się to przyda. Za chwilę drzwi runą niewątpliwie, zwłaszcza, że drapieżce, zabezpieczone teraz przed strzałami, które nie mogły ich dosięgnąć z tej pozycji, ze zdwojoną siłą dobijały się do nich.

Godfrey stał przez chwilę bezradny. Jeśli drapieżce wtargną do wnętrza, to wszystka broń nie starczy do obrony przed rozjuszoną gromadą. Ze skrzyżowanemi rękoma stał nieruchomy. Widział, że drzwi coraz bardziej chwieją się w zawiasach i nic nie mógł uczynić! W chwili słabości przesunął ręką po czole, jakby pod wpływem rozpaczy. Ale momentalnie odzyskał panowanie nad sobą i krzyknął:

— Na gałęzie!... Chrońmy się na gałęzie!

Ręką wskazał wąskie wydrążenie, którem należało się dostać do rozwidlenia drzewa. Karefinotu, naśladując każdy jego ruch, chwycił także strzelbę i rewolwer i naładował sobie kieszenie nabojami. Teraz należy jeszcze skłonić Tarteletta, by wraz z nimi podążył na wyżyny, czego nigdy nie miał odwagi zrobić.

Rozglądnęli się po domostwie, lecz nigdzie nie było Tarteletta. Spojrzeli do góry i oto Godfrey dostrzegł parę gibkich nóżek, znikających właśnie w gąszczu gałęzi... Tartelett pierwszy pomyślał o ucieczce, gdy oni zajęci byli obroną domostwa.

— Na gałęzie! — zakomenderował Godfrey.

Był to jedyny sposób ratunku, bo tam zwierzęta za nimi nie podążą. A gdyby która z bestyj odważyła się wspinać za nimi, to przez wąski otwór najłatwiej będzie strzelać celnie.

Nie wspięli się ponad trzydzieści stóp, gdy we wnętrzu drzewa rozległy się wycia.

Gdyby się byli opóźnili o kilka sekund, byliby straceni. W paru susach dostali się na gałęzie, przywitani krzykiem przerażenia. Pochodził on z ust Tarteletta, który był przekonany, że pędzi za nim tygrys lub pantera! Utraciwszy ze strachu równowagę, nieborak zawisł na gałęzi, kurczowo trzymając się jej teraz rękami i nogami, by nie runąć. Karefinotu pobiegł mu z pomocą, usadowił na mocnym konarze i na wszelki wypadek przywiązał go do niego pasem. Gdy Godfrey usiadł na konarze, tuż obok otworu, którym w razie potrzeby zamierzał posyłać strzały drapieżcom, Karefinotu zajął miejsce naprzeciw, również sposobiąc się do obrony.

I czekali.

Dzięki swej pozycji oblężeni mogli przypuszczać, że na razie nie grozi im niebezpieczeństwo.

Godfrey starał się zobaczyć, co dzieje się w domostwie, lecz zbyt było ciemno, by mógł widzieć na taką odległość. Z dochodzących go ryków wywnioskował jednak, że napastnicy wcale nie mają zamiaru się cofać.

Nagle, mogła być godzina czwarta, wokół drzewa stało się jasno, jak we dnie. Ta powódź światła pochodziła z wnętrza ich domostwa, a niebawem ostry gryzący dym zaczął się wzbijać otworem drzewa, dochodząc do gałęzi, na których się usadowili.

— Co się znów stać mogło? — wykrzyknął Godfrey.

Niedługo miał czekać na wyjaśnienie. Dzikie bestje, drepcąc po domostwie, rozrzuciły też ogień, płonący na ognisku i w okamgnieniu pożar objął sprzęty. Niebawem zaczęła się palić kora drzewa, wskutek czego drzewo Wilhelma stanęło w płomieniach.

Sytuacja była tak straszna, jak nigdy!

W świetle buchających płomieni wyraźnie rysowały się teraz sylwetki drapieżców, skaczących u stóp płonącego drzewa-olbrzyma.

Niemal równocześnie nastąpiła straszliwa eksplozja, wstrząsając drzewem od korzeni do samego wierzchołka.

W domostwie nastąpił wybuch prochu, na który padły iskry, a powietrze wypierane gwałtownie, niby gazy prochu strzelniczego ze strzelby, buchnęły w górę przez wydrążenie drzewa... Niewiele brakowało, a silny ten prąd byłby strącił Godfreya i Karefinota, a gdyby Tartelett nie był przymocowany pasem, to napewno byłby już leżał na ziemi z pogruchotanemi kośćmi.

Przerażone straszną eksplozją drapieżce, przeważnie ranne, co szybciej zaczęły zmykać.

Pożar tymczasem, wskutek wybuchu prochu, szerzył się z niesłychaną szybkością. Wydrążonem wnętrzem drzewa płomień buchał niby kominem, a niebawem począł też lizać gałęzie u rozwidlenia drzewa. Sucha kora trzaskała, jakby strzelano z kilku rewolwerów, a gryzący dym potężnym słupem wzbijał się ku górze. Olbrzymi płomień rozświetlał teraz nietylko całe otoczenie grupy drzew-olbrzymów, lecz

także wybrzeże wyspy od Sztandarowego wzgórza do Zatoki Marzenia.

Niebawem płomień objął gałęzie w pobliżu miejsca, gdzie schronił się Godfrey z towarzyszami. Czyżby po uniknięciu tylu niebezpieczeństw mieli teraz paść pastwą pożaru, czy też jedynie ważąc się na skok śmiertelny z drzewa, ujdą otaczającym ich już zewsząd płomieniom?

W obydwu wypadkach śmierć ich czeka niechybna!

Godfrey natężał myśl, szukając jednak środka ocalenia, sposobu uniknięcia śmierci, zaglądającej im już w oczy. Niestety, żadnego nie widział już ratunku! Gałęzie płonęły, trzaskając przeraźliwie, a gęsty dławiący dym przyćmiewał pierwsze brzaski wschodzącego dnia.

W tej strasznej chwili nagle dał się słyszeć trzask, łoskot, huk... Drzewo, przepalone u korzeni, przełamało się u dołu i z okropnym łomotem runęło... Padając jednak, zatrzymało się na pniach sąsiednich drzew-olbrzymów, gałęzie zaczepiły się wzajem i oplotły, powstrzymując dalszy upadek drzewa, które oto zawisło w powietrzu, podtrzymywane przez swych towarzyszy.

W chwili, gdy drzewo Wilhelma zachwiało się i runęło, Godfrey i jego towarzysze uważali się za straconych.

— Dziewiętnasty styczeń! — krzyknął nagle głos, który Godfrey natychmiast poznał, mimo całej grozy chwili...

To Karefinotu wykrzyknął te dwa słowa... Tak! Karefinotu wydał ten okrzyk w języku angielskim... którego dotychczas zdawał się nie znać i nie rozumieć...

— Co powiedziałeś? — zapytał Godfrey, osuwając się ku niemu po gałęziach.

— Co powiedziałem? — powtórzył Karefinotu. — Powiedziałem, że dziś musi przybyć pański wuj Kolderup, a jeśli nie przybędzie, to jesteśmy straceni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nieszczęścia Basi.

(Nowelka.)

Za nią, młodziutką Basią, co to na tatusiowym rowerze robiła sobie wycieczki pod gruszę na babciną miedzę, jeździł Juleczek, jeździł jak zwarjowany przez całą wiosnę i lato, a na jesień już się poznali. On się jej przedstawił, ona podała rączkę, — on rączkę uścisnął, ona się zarumieniła, — on rączkę pocałował, ona poczerwieniała i pomyślała sobie, że już jest dorosłą panną i mama już niepotrzebnie tytułuje ją: „smarkulą“.

Od tego czarownego dnia, on ją zawsze dopędzał pod mostem i dalej już jeździli zgodnie obok siebie lub na wyścigi, kto prędzej dopadnie babcinej gruszy, a kto ciocinej brzozy, a kto stodoły pana organisty. Było im, a zwłaszcza, Basi bardzo dobrze i wesoło, bo Juleczek i ładny i wesoły chłopak, umie dużo różnych bajek i powiastek, głupich i mądrych, a najwięcej z własnego życia... Gdzie on nie był, co nie robił, czego nie widział... Okropność! Na rowerze podobno objechał cały świat...

Ale za ostatnią robinsonadę Juleczek kazał sobie — zapłacić. Baśka spraszała się jak mogła, bo nie miała pieniędzy, ale on się roześmiał i rzekł:

— Ej, nie mówię o pieniądzach... Niech panna Basia popróbuje jeździć ze mną na moim rowerze.

— To będzie zapłata?

— Może to mała zaliczka...

Ale Basia nie wiedziała, co to jest ta — „zaliczka“ i wsiadła na rower Juleczka. Jadą. Aż tu nagle — mama. — Gwałtu! Rety! — W strachu zawsze jest dużo siły, więc oni z tym rowerem raz, dwa, trzy, fajtu, majtu, w lewo, w prawo pod babciną gruszę, pod ciociną brzozę, a koło stodoły pana organisty — bęc do rowu. Baśka się trochę potłukła i zlękła, a on otrzepując z piasku jej sukienkę, rzekł:

— A to ci dopiero zaliczka...

Nazajutrz dostał depeszę z domu i pojechał, bo coś się tam stało i koniecznie trzeba było jego obecności. Wyjechał i zaczęła się korespondencja. On słał listy wierszem i prozą takie śliczne, a rozkochane i takie czasem trudne, że nawet nie mogła zrozumieć, a ona ani lekkiego i łatwego nie mogła napisać. Mniejsza o styl, on byłby i poprostu zrozumiał, ale ani prosto, ani krzywo Basia listu nie mogła napisać i tylko słała kartki z pozdrowieniem.

— To jest mało — twierdziła koleżanka Wiśka i list napisać musisz, skoro on tak bardzo prosi.

Racja. Musi. Choćby miała umrzeć przy tym liście. I po wielu dniach ciężkich medytacyj, nareszcie zdecydowała się przepisać na czysto bodaj tyle, co kiedyś napisała na brudno. Przynajmniej zacznie, a potem może się już samo będzie pisało, albo co...

„Kochany panie Julku! Tak trudno pisać jak boli ręka, że panu dużo nie napiszę dziś. Kiedyś wpadłam do rowu, a wczoraj spotkała mnie pani nasza na rowerze i znowu była „zaliczka“ wielka jak strach i krew z robitego nosa. Co panu jeszcze napisać? — Ta „zaliczka“ była pod babciną gruszą“.

Co pisać? — Niema już co. Miała wrażenie, że wsunęła się w jakąś dziurę w płocie i ani wprzód, ani wtył ani w tę ani w tamtą stronę. Acha:

„Wczoraj dostałam dwójkę z fizyki i z niemieckiego, ale zato zadanie polskie mam bardzo dobrze. Czy pan jest zdrów?“

Prrr... urwało się. Motor stanął. I znowu ani tu, ani tam. Co tu napisać jeszcze? Niema tematu, ale temat znaleźć się musi.

Myśli — myśli — myśli — wymyśliła. Jest!

— Jest! Napiszę mu o... wiecu.

Z tym wiecem, na który ją nie wiedzieć jakie licho zaniosło, było tak: Prali się laskami, parasolami i krzesłami. Kto z kim, nie wie i wczoraj nie wiedziała. Mówili o socjalistach, o chłopach, burżujach, panach, idjotach, świniach, ale kto atakował, a kto był atakowany, nie miała pojęcia. Bili się mężczyźni i tyle. Laski, parasole i krzesła łamały się na mocnych ludzkich głowach, a wszystko z wrzaskiem waliło ku trybunie, z której przemawiał podobno jakiś poseł. W sali był krzyk, ryk, ścisk, gwizd, trzask, prask, że nie daj Boże. Wciągnięto obie smarkule w tłum, zduszono jak śliwki w beczce pod kamieniem i gdyby nie jakieś baby, chyłkiem umykające z tego wiecowego piekła, byłoby ich chłopstwo rozniosło. Po głowach i w różne inne, ważne i mniej ważne miejsca dostało się im aż hej, tylko w tej chwili o tem, że boli nie myślały.

W drzwiach dostała się im aluzja: „Patrzcie-no kumo na te szczeniaki. Potrzebne w tem miejscu jak dziura w moście“. Zadrżały ze złości, ale w tej chwili tłum wyrzucił „szczeniaki“ na dziedziniec i nagle Baśka usłyszała:

— Baśka, jak ty wyglądasz...

— Wiśka, jak ty wyglądasz...

Okropność! Wiśka miała dziwnem prawem zamiast butów, obłocony berecik, na czole guz, na policzku mocno zadrapane i oderwaną w jednem miejscu falbanę sukienki, a Baśka miała berecik również obłocony, siniak pod okiem i nad okiem, koło noska zakrwawione i zupełnie porozcinaną sukienkę.

Otóż te wszystkie szczegóły, siedząc nad listem, Baśka sobie przypominała i opisywała rozkochanemu chłopcu, zadowolona z siebie i z udałego „libesu".

— No, chwała Bogu, że już skończone. Ma duży list, taki jak chciał. Może nawet przez godzinę nie przeczyta. Ale się... ucieszy.

Z biciem serca wyczekiwała odpowiedzi na swój „list miłosny", tak skrycie przed mamą pisany, a kiedy przyniesiono go i kiedy odczytała — o bogowie!

Zbladła jak trup i czemprędzej musiała się oprzeć o szafę, aby nie upaść. — A bo też ten Julek... Wiadomo, mężczyznom nigdy nie dogodzi... Taki duży list — i jeszcze źle... Cóż Baśka winna, że jemu się „libes" nie podobał? Pewno dostał od ojca „lanie", bo zły, a widać, że i płakać mu się chce.

Znowu wyjęła list, który przed chwilą ukryła pod sercem i przeczytała potworny koniec:

„Co mnie to wszystko obchodzi i poco mi o tem piszesz? Chciałem byś mi napisała o sobie, o swojej tęsknocie, o miłości, a ty — o wiecu. Oj Baśka, jeszcześ ty do miłości nie dorosła, wobec tego korespondencji chwilowo musimy zaprzestać, dopóki całkiem nie zmądrzejesz. Przykro mi trochę, trochę jestem zły, a trochę chce mi się śmiać z ciebie. Nieprędko się zobaczymy. Do widzenia! Adieu! Bądź se pani zdrowa i odprawiaj dalej pielgrzymki wiecowe i pod tę babciną gruszę za — „zaliczkami".

Straszne, straszne i jeszcze raz straszne!

Po policzkach Basi popłynęły łzy zbałwanioną rzeką. Rzuciła się na łóżko, róg poduszki wcisnęła w usta, ale chlipanie usłyszała mama i przybiegła przerażona.

— Rany boskie! A tobie co się stało?

— Nic, nic — wyłkała.

— Pewnie masz boleści, a mówiłam, nie jedz tych jabłek, bo są zbyt twarde. No cicho, nie płacz, tylko się rozbieraj i zaraz pod kołdrę. Dam ci gorące pokrywki i — francuskiej herbaty, albo senesu. A może wolisz zażyć fiakierski proszek...

— Drugie nieszczęście — mruknęła i dopiero teraz się rozpłakała prawdziwie, jak należy rozpłakać się w tragicznej chwili, w której zdarzy się karambol dwu nieszczęść, całą parą pędzących ku sobie.

A ta mama jeszcze jedno wróży:

— Ooo — tobie trzeba doktora... A mówiłam — mówiłam...

Anna Więckowa.

Kwiat paproci.



Zielona paproć kwitnie w boru
raz ino w rok po zmroku —
raz ino mam ci do wyboru
wydrzeć się doli z twardych oków.
Zielona paproć — a pódzi-no,
dzioucho miła moja,
północną znajdziem se godziną
szczęście, co kwitnie hań u zdroja.
Ośpiewał ci je w lesie słowik,
zwid olśnił świętojański,
i wiatr oszumiał we mgłach płowych
ten cud nasz — dziw bezpański.
Nie będę orał ziemi chwastom,
by kąkol kosić w znojach —
północkiem paproć kwitnie jasno —
pódzi-no, dziouchо moja...

Franciszek Surówka.

Poradnik gospodarczy.

Żywienie dojnych krów w lecie.

Każdy gospodarz rozumie, że krowy dojne należy odżywiać dobrze, nie ograniczając się do wyganiania na naturalne pastwiska, zwłaszcza w dnie gorące i suche, kiedy obfite nawet trawy pastwiskowe są jakby przypalone słońcem.

Dobre odżywianie jest jednak bardzo rozmaicie rozumiane przez różnych rolników i często widzi się krowy wprost spasione, na podziw tłuste, a jednak małomleczne, gdyż są obficie ale wadliwie żywione.

Trzeba pamiętać, że w dawce pokarmowej krów dojnych należy odróżnić paszę bytową, to jest tę ilość paszy, jaka ma wystarczyć na potrzeby życiowe krowy i paszę produkcyjną, potrzebną na wytwarzanie mleka. Ilość paszy bytowej jest zależna od wagi krowy, ilość i jakość paszy produkcyjnej powinna być zastosowana do mleczności krowy i tłustości mleka. Nie wszystkie pasze są jednakowo dobre dla krów mlecznych, gdyż jedne są specjalnie mlekopędne, inne działają obojętnie, wreszcie są takie, które, tucząc krowę, szkodzą na jej mleczność.

Do pasz dobrych mlekopędnych zalicza się dobre siano, koniczynę, buraki, zielonki (lucerna!), kiszonki, wywar zbożowy, otręby pszenne oraz makuchy: sojowy, słonecznikowy, palmowy, kokosowy i lniany. Paszami szkodliwie działającemi na mleczność są słomy owsiana i żytnia, makuch makowy, oraz wszelkie pasze nadpsute, zgniłe lub spleśniałe. Pozostałe pasze można uważać za obojętne.

W sezonie obecnym, t. j. w czerwcu i lipcu, mamy do czynienia głównie z paszami zielonemi, należy więc pamiętać, że krowy mleczne potrzebują paszy różnorodnej, zwłaszcza jeżeli chodzi o pasze treściwe, któremi mleczne krowy powinny bezwarunkowo przez cały rok być równomiernie dopasane w oborze. Nie wolno w żadnym wypadku przekraczać 12 kg. dziennie pasz treściwych, a w szczególności otrąb pszennych 8 kg., makuchu rzepakowego 3 kg. i orzecha ziemnego 2 kg. Pasz treściwych nie należy mieszać z innemi paszami, a dawać zawsze oddzielnie i w czysto wymiecionych żłobach, pasze zielone najlepiej dawać pod postacią bardzo grubej (długości zapałki, albo i dłuższej) sieczki. Niedojadane resztki bezwarunkowo wyrzucać, gdyż w lecie psują się szybko i stają się szkodliwe. Poić trzeba krowy obficie dwa razy dziennie wodą o średniej temperaturze i czystą.

W czerwcu zdarzają się najczęściej wypadki wzdęcia u bydła, spowodowane przez zjadanie większej ilości koniczyny lub wyki. Chorej sztuki nie można szybko pędzić z pola, lecz możliwie zaraz po wzdęciu ustawić tylnemi nogami o wiele niżej niż przedniemi (wprowadzić zadem w rów) i silnie ugniatać pięściami brzuch bydlęcia z lewej strony, polewając jednocześnie tę stronę zimną wodą. Do wewnątrz wlać 4 litry wody wapiennej, którą każdy gospodarz powinien mieć w tym czasie w domu. Następnie zapomocą przyrządu „Wułkan", lub rury przełykowej wypuścić gazy z żołądka. Przebijać trokarem tylko w ostateczności i to jedynie z lewej strony między ostatniem żebrem, guzem biodrowym i wyrostkami kręgów lędźwiowych. Rankę starannie przemywać wodą utlenioną. Najlepiej jednak będzie nie wyganiać krów na koniczynę, ani na wykę, a przynajmniej uważać wtedy, aby bydło nie jadło zbyt łapczywie i zbyt długo.

Trzeba również w porze upałów pamiętać o tem, żeby bydło, a zwłaszcza krowy cielne i mleczne,

miały w południe jaknajwięcej chłodu i jaknajmniej ruchu. Oborę utrzymywać w czystości, jak najczęściej przewietrzać i walczyć energicznie z wszelakiego rodzaju robactwem.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli" dołączamy czeki wszystkim naszym kwartalnym i półrocznym Prenumeratorom. Wszystkich tych Pronumeratorów prosimy, aby odnowienia prenumeraty nie zaniechali i nie zwlekali z jej nadesłaniem. Jak dotąd tak i nadal usilnie starać się będziemy, aby „Rola" była z każdym numerem coraz lepsza. Bez względu na koszta postaramy się w przyszłym półroczu o szereg pięknych obrazków, a co do treści literackiej, oprócz przygotowanych już bardzo ciekawych powieści, których druk rozpoczniemy niebawem, damy wiele zajmujących krótszych nowelek, opowiadań, humoresek i t. p., aby zadowolić w zupełności naszych Czytelników. Cena księgarska jednej tylko powieści, drukowanej w „Roli", wynosi więcej, aniżeli półroczna prenumerata „Roli". Ponieważ numerów na zapas z powodów finansowych drukować nie możemy, przeto kto chce mieć na własność tak cenne wydawnictwo, niech nie zwleka z nadesłaniem prenumeraty.

Podatek wojskowy. Rada ministrów opracowała projekt rozporządzenia o wysokości i sposobie poboru podatku wojskowego oraz podziału tegoż pomiędzy państwo a gminę. Projekt ten przewiduje, że osoby zwolnione w części lub całkowicie od służby wojskowej płacić mają podatek wojskowy w formie dodatku do podatku dochodowego w wysokości 10 lub 20 procent zależnie od tego, czy są niezdolne całkowicie do służby wojskowej, czy też tylko do służby z bronią. Osoby niepodlegające podatkowi dochodowemu płacić będą również podatek wojskowy na rzecz gminy.

Wstrzymanie emigracji do Kanady. Urząd emigracyjny zawiadamia, że emigracja osadnicza do Kanady została wstrzymana zupełnie. Rolników przestrzega się nawet przed wszczynaniem starań o wyjazd, gdyż byłoby to narazie tylko stratą pieniędzy i czasu.

Emigracja do Francji. Do Syndykatu emigracyjnego zgłoszone zostało zapotrzebowanie na 2.025 osób, które w ciągu miesiąca czerwca wyjadą do robót rolnych we Francji, w tem: a) 1.155 mężczyzn, b) 870 kobiet, z czego 70 małżeństw bezdzietnych. Na powyższe zapotrzebowanie mogą wyjeżdżać jedynie zdrowi fizycznie i zdolni do pracy robotnicy i robotnice rolne. Emigrantów do robót rolnych we Francji rekrutują jedynie Państwowe Urzędy pośrednictwa pracy w powiatach Wieluń, Kalisz, Radomsko, Lublin, Kraków, Nowy Sącz, Tarnów, Lwów, Tarnopol i Przemyśl.

Święto pieśni. Dnia 14 b. m. odbyła się w Babicach w pow. chrzanowskim podniosła uroczystość Święta pieśni, urządzona staraniem kierownictw szkół tamtejszej parafji. Na tle romantycznych ruin starego zamczyska lipowieckiego, dawnej letniej rezydencji ks. biskupów krakowskich, zebrała się dziatwa szkół tamtejszego rejonu a mianowicie z Babic, Kwaczały, Zagórza, Mętkowa, Jankowic i Olszyn i przy b. licznym udziale okolicznej ludności zaprodukowała szereg pieśni, deklamacyj pojedynczych i chórowych, budząc niekłamane zadowolenie wszystkich uczestników. W uroczystości brali udział prócz miejscowej ludności liczni goście z duchowieństwa z ks. kan. Janem Kosowskim z Babic na czele oraz pp.: starostw. Łęccy, insp. szk. Gębiccy i wielu innych. W produkcjach popisywało się przeszło 500 dzieci. Kierownictwo chóru spoczywało w rękach p. kier. szk. z Babic M. Czurczaka. W czasie uroczystości przemawiali: K. Ladra kier. szk. z Kwaczały i p. Jan Gębicki insp. szkolny z Chrzanowa. Uroczystość zostawiła na uczestnikach niezatarte wrażenie na szereg lat, propagując wartość szkoły i miłość pieśni polskiej.

Burza gradowa Nad powiatem bialskim przeszła gwałtowna burza gradowa, która zniszczyła zasiewy na przestrzeni 80 ha, wyrządzając szkodę około 40.000 zł. W czasie burzy, która przeszła nad Becznarowicami poniosła śmierć od pioruna kobieta, która w krytycznej chwili znajdowała się w pobliżu zabudowań gospodarskich.

Zamordowanie alumna we Lwowie. Do przechodzącego ulicą Grodziskich we Lwowie kleryka grecko-katolickiego seminarjum duchownego Eugenjusza Bereźnickiego dał niejaki Iwan Mycyk dwa strzały rewolwerowe, zabijając go na miejscu, poczem morderca usiłował zbiec, torując sobie drogę rewolwerem przed ścigającymi go przechodniami. Dwa razy strzelił do robotnika Stanisława Świdzińskiego i ranił go w prawą rękę i palce. Wkońcu został przez policję zatrzymany i rozbrojony. Przechodnie usiłowali dokonać nad mordercą samosądu. Mycyk podczas śledztwa oświadczył, iż morderstwa dokonał z rozkazu Ukraińskiej organizacji wojskowej.

Zamordowanie dyrektora szkoły w Olkuszu. Wśród tajemniczych okoliczności zamordowany został dyrektor szkoły rzemiosł w Olkuszu, Ignacy Kowalski. W nocy, gdy ś. p. Kowalski położył się spać, przez drzwi od ogrodu weszło, jak się zdaje, dwóch sprawców zbrodni do sypialni dyrektora. Jeden z nich strzelił do śpiącego dyrektora z rewolweru. Kula utkwiła w brzuchu i po upływie kilkunastu minut Kowalski zakończył życie. Bezpośrednio po strzale zbrodniarze zbiegli, nie zabierając niczego. Nie jest to więc mord rabunkowy, ale prawdopodobnie osobista zemsta.

Głuchoniemy znachor-cudotwórca. Onegdaj policja w Dąbrowie Górniczej aresztowała niejakiego Andrzeja Pietrasa, ze wsi Cielątka, pow. piotrkowskiego. Aresztowany znachor wędrował po całem Zagłębiu, a udając głuchoniemego, z łatwością dowiadywał się o dolegliwościach swych klientów, co ułatwiało mu w dużej mierze stawianie djagnozy i stosowanie lekarstw, mniej lub więcej skutecznych, przyczem posługiwał się dla „efektu" różnemi zaklęciami i t. p. Wreszcie tajemniczym znachorem zainteresowała się policja, która go aresztowała. Do policji zgłasza się szereg poszkodowanych, zwłaszcza kobiet, które o zabiegach niemego „lekarza" opowiadają niesamowite wprost historje. Epilog całej sprawy rozegra się przed sądem.

Poświęcenie pomnika w Będzinie. Komitet budowy pomnika dla uczczenia pamięci poległych żołnierzy 11 pułku p., który stanął na placu 3 Maja w Będzinie, postanowił raz jeszcze przesunąć termin poświęcenia, która to uroczystość ma nastąpić w końcu sierpnia lub we wrześniu b. r. Przesunięcie uroczystości nastąpiło celem umożliwienia p. Prezydentowi Rzplitej, który jesienią przyjeżdża do Zagłębia, wzięcia udziału w uroczystościach.

Smutne objawy zdziczenia. We wsi Biała-Towarzystwo (pow. częstochowski) niejaki Konstanty Mizera, znany pod przezwiskiem Kostek-przemytnik, był kochankiem córki zamożnego gospodarza, Kazimierza Rysia.

Kostek miał zamiar poślubić kochankę, ale domagał się od jej ojca znacznego posagu. I na tle tych targów o posag popsuły się całkowicie stosunki między nim a rodziną Rysiów. Narzeczona doniosła policji o zamierzonej przez Kostka wyprawie przemytniczej, a on dowiedziawszy się o tem, dotkliwie zbił swoją przyszłą żonę. Na pobicie córki stary Ryś odpowiedział strzałami i Kostek padł trupem na miejscu. Bracia dziewczyny porąbali ciało zamordowanego na kawałki.

Cztery lata więzienia za szpiegostwo. Sąd okręgowy w Katowicach skazał redaktora i wydawcę tygodnika „Polska pacyfistyczna", Ignacego Stachowiaka, na 4 lata ciężkiego więzienia za szpiegostwo na rzecz Wolnego m. Gdańska.

Straszne skutki pioruna. Z Sierpca nadeszła wiadomość o tragicznym wypadku jaki wczoraj wydarzył się podczas burzy we wsi Studziennica. We wsi tej bawił na ćwiczeniach oddział przysposobienia wojskowego 32 p. p. pod dowództwem porucznika Kłody. Podczas ćwiczeń około godziny 6 tej rozpętała się burza tak, że oddział zmuszony był schronić się do najbliższej stodoły. W stodołę tę uderzył piorun. 5 osób zginęło na miejscu, 18 odniosło ciężkie rany a reszta lżejsze rany. Stodoła spłonęła doszczętnie a w niej 70 karabinów, które oddział P. W. miał z sobą. Rannych przewieziono natychmiast do szpitala.

Przykuty do drzew w lesie. Z Sieradza donoszą: Letnicy, zamieszkali w Męskiej Woli pod Sieradzem, obudzeni zostali w nocy donośnem wyciem, rozlegającem się w lesie. Zawiadomiona o dziwnych odgłosach policja wyruszyła do lasu na poszukiwania. Po pewnym czasie znaleziono w lesie człowieka, przykutego łańcuchami do dwóch drzew w ten sposób, że do jednego drzewa przykuta była lewa ręka i lewa noga, a do drugiego znów prawa ręka i prawa noga. Łańcuszki były zamknięte na sześć kłódek. Jak stwierdzono, przykutym do drzew był umysłowo chory mieszkaniec Pabjanic, Abraham Burzyn. Zdołano z niego wydobyć tylko to, że pił gdzieś z jakimś Władkiem, który go przykuł do drzewa. Istnieje przypuszczenie, że rodzina, chcąc się pozbyć opieki nad chorym i zawładnąć spadkiem po nim, uplanowała tę zbrodnię, sądząc, że Burzyn umrze w lesie z głodu.

Włamanie do banku. Do Banku ludowego na Rynku Trybunalskim w Piotrkowie, włamali się kasiarze, którzy rozpruli mniejszą kasę, zabierając z niej 2.000 zł. Obok stała nowoczesna, żelazno-betonowa ogniotrwała kasa, z zawartością kilkudziesięciu tysięcy złotych, ta jednak oparła się zakusom kasiarzy.

Wykrycie tajnej gorzelni. Brygada lotnej kontroli skarbowej w Łodzi otrzymała wiadomość, iż w okolicach Koluszek nieznana tajna gorzelnia rozpowszechnia wśród chłopów swoje wyroby. Całą okolicę poddano obserwacji, przyczem udało się stwierdzić, że gorzelnia musi się mieścić we wsi Mikołajowie. Po dłuższej obserwacji kontrolerzy urządzili rewizję w mieszkaniu Stefana Ziętary. Rewizja zarówno w mieszkaniu, stodole, jak i szopie nie dała rezultatu. Dopiero gdy zajrzano do stoga słomy, znaleziono rozebrany aparat gorzelniczy. Ziętara wskazał następnie piwniczkę, urządzoną pod kupą nawozu, gdzie mieściła się właściwa gorzelnia. Skonfiskowano całe urządzenie i pewną ilość gotowego spirytusu. Ziętara uprawiał swój proceder od dłuższego czasu. Straty skarbu państwa oceniane są na około 100 tysięcy złotych.

Tragiczny wypadek kierowniczki szkoły. Na linji kolej Warszawa-Otwock zdarzył się następujący wypadek. Do pociągu, idącego do Warszawy, wsiadła kobieta, jak się później okazało, Perla Jarecka, kierowniczka szkoły wraz ze swą 6-letnią dziewczynką. Jarecka zajęła przedział. W pociągu matka i córka chciały zjeść coś, wobec czego Jarecka podniosła się z miejsca i zbliżyła do drzwi, gdzie na ławce w rogu stały walizki. Przez nieuwagę oparła się o drzwi, które widocznie nie były domknięte. Drzwi otworzyły się. Jarecka straciła równowagę, przez chwilę starała się chwycić poręczy, co jej się jednak nie udało i, pchnięta siłą odśrodkową, runęła na tor tuż obok szyn. Córka jej zaczęła krzyczeć i wzywać ratunku. Nikt jej jednak nie słyszał. Pociąg pędził dalej. Dopiero na stacji w Warszawie dziecko wybiegło na peron, gdzie opowiedziało o wypadku. Natychmiast posterunek policyjny na dworcu gdańskim skomunikował się z Wawrem, skąd otrzymano odpowiedź, że na torze znaleziono leżącą kobietę. Jarecką w stanie beznadziejnym przewieziono następnym pociągiem do Warszawy i umieszczono w szpitalu.

Katastrofa lotnicza. Na lotnisku w Toruniu wydarzyła się katastrofa lotnicza, w której poniósł śmierć porucznik pilot Tymiński Leonard z 1 pułku lotniczego w Warszawie. Por. Tymiński przybył w godzinach przed południowych służbowo z Warszawy do Torunia. Wystartowawszy w Toruniu do lotu powrotnego, por. Tymiński wykonał nad lotniskiem kilka popisów akrobatycznych, w czasie których aparat obniżył się zbytnio, a znajdując się w niebezpiecznej sytuacji, z której nie mógł się wyprowadzić, runął na ziemię. Por. Tymiński odniósł ciężkie rany a po przewiezieniu do szpitala zmarł. Samolot uległ zupełnemu rozbiciu.

Śmiertelna obława na kłusowników. Przeciwko grasującym w pow. konińskim kłusownikom wysłano z obławą dwóch posterunkowych, Widerskiego i Kocana. Gdy policjanci zbliżali się do kryjówki kłusowników, zostali zasypani strzałami. Jedna z kul ugodziła post. Widerskiego i położyła go trupem na miejscu. Po dokonaniu zabójstwa sprawca zbiegł. Dochodzenia ustaliły, że mordercą jest Franciszek Rybiński, który po morderstwie skrył się w okolicy Sempolna. Zarządzono za nim pościg. Dzięki pomocy ludności bandytę udało się otoczyć. Rybiński, widząc, że niema drogi do ucieczki, zaczął sie ostrzeliwać. Wywiązała się walka, w czasie której Rybińskiego zabito. — Na polach w Goli zraniony został wystrzałem z fuzji 17-letni Władysław Nowak z Goli. Do zajścia doszło we wczesnych godzinach porannych. Nowak udał się na kłusownictwo z drugim mieszkańcem Goli, Wincentym Kowalskim. Wobec tego, że na terenach tamtejszych grasują niezwykle liczni kłusownicy, krytycznej nocy ustawili się na czatach leśniczy i elew leśny z leśniczówki w Zabiszynie (pow. koźmiński), z dwoma funkcjonarjuszami policji z posterunku w Jaraczewie. Napotkani kłusownicy nie odłożyli na wezwanie broni, a Kowalski strzelił nawet w kierunku leśników. Wówczas obaj leśnicy strzelili trzykrotnie, raniąc Nowaka w prawe biodro. Po doraźnym opatrunku przez funkcjonarjusza policji, Nowaka przewieziono do szpitala w Jarocinie.

Walka dwóch wsi. Na terenie gminy mickuńskiej na Wileńszczyźnie, wskutek zatargu przy podziale gruntu pomiędzy mieszkańcami wsi Wierbuszki i Saduniszki wynikł spór, który zamienił się wkrótce w zaciętą walkę. Mieszkańcy wsi Wierbuszki, w liczbie kilkudziesięciu osób, uzbrojeni w drągi, napadli na mieszkańców wsi Saduniszki, przyczem kilkunastu dotkliwie pobili. Jeden z rannych Juljan Michałowski, wskutek ciosu otrzymanego w głowę, po przeniesieniu do domu zmarł. Winnych zabójstwa aresztowano.

Katastrofalna burza. Na pograniczu w rejonie odcinka granicznego Domaniewicze przeszła wielka burza gradowa, czyniąc olbrzymie spustoszenia w 7 wsiach,

szczególnie zaś w okolicy Antonowa. Grad pokrył pola warstwą grubości 4 cm Zasiewy w tej okolicy zostały zniszczone, a drzewa i rośliny pozbawione liści i kwiecia. We wsi Duchowo i Marjaniszów grad zabił 13 owiec. Od uderzenia piorunów w wymienirnych wsiach zapaliło się szereg zabudowań gospodarczych, które dzięki pomocy oddziałów K. O. P. zostały uratowane. Od uderzenia pioruna zabity został w lesie pastuch oraz trzy sztuki bydła. Straty znaczne.

Szwagier mordercą. Przy szosie, prowadzącej z Baranowicz do Kołpienicy, znaleziono zwłoki młodej dziewczyny z roztrzaskaną głową. Energiczne dochodzenie policji z Baranowicz ustaliło, że zamordowaną jest 18 letnia Anna Weszczynko. Morderstwa dokonał szwagier jej Adam Szutowicz ze wsi Kołpienica, który przyznał się do winy.

Zaburzenia antyżydowskie w Stołpcach. Podczas uroczystości kościelnych w dniu święta prawosławnego, grupa młodzieży prawosławnej rzuciła się na żydów i jednego z nich, Brochańskiego, poraniła nożami. Wśród ludności żydowskiej powstał popłoch. Podniecony tłum usiłował jednego z policjantów rozbroić. Wezwana pomoc policyjna położyła kres ekscesom i aresztowała 4 przywódców. Jak wykazało śledztwo, zaburzenia te wywołali komuniści.

Żona za 300 dolarów. W granicznej osadzie Łoździeje wydarzył się wypadek, który jest żywo komentowany wśród okolicznych mieszkańców. Niejaki Antoni Draczew, stolarz z zawodu, będąc w skrajnej nędzy, sprzedał swemu kuzynowi przybyłemu z Chicago Janowi Kardeckiemu swoją młodą i piękną żonę za 300 dolarów. Mimo sprzeciwu żony Kardecki zabrał kupiony „towar“ i usiłował wywieźć ją do Litwy. Na granicy Kardeckiego z żoną Draczewa zatrzymano, ponieważ ta ostatnia nie miała zezwolenia na wyjazd. Draczewową odstawiono do miejsca zamieszkania. „Sprzedana żona“ złożyła skargę na niecny postępek męża.

Słony deszcz w Rumunji. Niezwykłe zjawisko atmosferyczne, w związku z katastrofalnemi deszczami, jakie ostatnio nawiedziły Rumunję, zauważono w prowincji Kaliakre w okolicy Bukaresztu. Deszcze, jakie spadły w wioskach Melecler, Musubei i Ciflic, składały się ze słonej wody. Dytychczas urzędy meteorologiczne nie dały pewnego wytłumaczenia niezwykłego fenomenu. Przypuszczają, że wichura przeniosła z pobliskiego morza większe ilości wody morskiej.

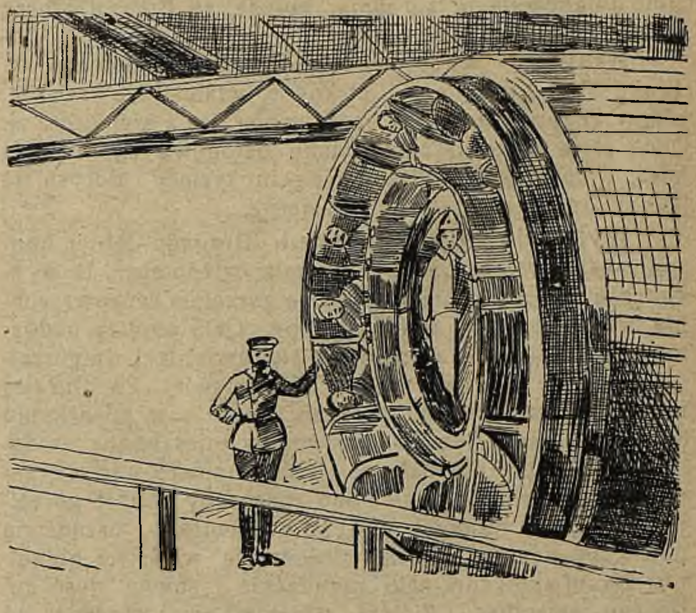
Ofiara „sądu ludu“. W Moskwie wydarzył się ostatnio wypadek, który wywołał niezwykłe poruszenie wśród młodzieży sowieckiej, uczęszczającej do wyższych uczelni. Organizacja komunistyczna w moskiewskim Instytucie gospodarczo - technicznym urządziła tak zwany sąd ludowy nad jednym ze studentów, Boguszewskim, którego oskarżono o to, iż nie pochodzi z rodziny proletarjackiej, lecz z drobno - mieszczańskiej i dlatego nie powinien należeć do organizacji studentów proletarjackich. Dalej oskarżono Boguszewskiego, iż jako młody literat wzoruje się ślepo na klasykach rosyjskich, zamiast przyczynić się dc rozwoju literatury komunistycznej. Sąd wydał na Boguszewskiego wyrok, hańbiący go i wyłączający ze szkoły i organizacji studentów. Po ogłoszeniu wyroku Boguszewski w oczach niezwykle licznie zgromadzonych studentów i komsomolców popełnił samobójstwo. Władze sowieckie wszczęły śledztwo w tej niezwykłej sprawie, lecz udzieliły inicjatorom sądu jedynie nagany. Charakterystyczny jest fakt, że sąd składał się z samych komunistów - żydów, podczas gdy Boguszewski był Rosjaninem. Wypadek ten przyczynił się do wzrostu nastrojów antysemickich w Moskwie.

Olbrzymi grad. W okolicach Smury w Rosji spadł grad, którego poszczególne ziarna sięgały 400 gramów wagi. Grad wyrządził ogromne spustoszenia w sadach i na polach oraz w stadach owiec. Kilkanaście osób zaskoczonych burzą w polu, odniosło ciężkie rany.

Straszna katastrofa okrętowa. W obiegłą niedzielę ze St. Nazaire we Francji wyruszył okręt turystyczny z wycieczką robotniczą złożoną z 500 do 600 osób. Marszruta statku kończyła się przy wyspach Noir i Moutier. W drodze powrotnej zerwał się nagle orkan, który stosunkowo dużym statkiem miotał jak łupiną. Przerażeni robotnicy oraz załoga potracili głowy i zgrupowali się na pokładzie statku po stronie steru. W pewnej chwili monstrualnie wielka fala uderzyła w bok okrętu, który przy akompanjamencie przeraźliwych krzyków przechylił się i począł tonąć. Olbrzymia fala zmiotła z pokładu wszystkich wycieczkowców. W ciągu niespełna minuty statek zatonął. Katastrofę dostrzegł latarnik, który zawiadomił o tem władze portowe. Na pomoc wysłano dwa okręty, które po przybyciu na miejsce potwornej katastrofy wyłowiły zwłoki 503 ludzi.

Rozruchy religijne w Hiszpanji. W Hiszpanji wydarzyły się poważne rozruchy religijne. Między Pampeluną a Saragossą pociąg z 1.300 osobami, wracającemi ze zgromadzenia katolickiego w Pampelunie został napadnięty przez tłum, liczący około 1.000 głów, który obrzucił podróżnych kamieniami. Wiele kobiet i księży wyrzucono z wagonów i bito. Lokomotywę odczepiono, uniemożliwiając dalszą jazdę. Policja nie opanowała sytuacji. Jest wielu ciężko rannych. Niektórzy podróżni usiłowali wracać do Saragossy samochodami, zostali jednak zatrzymani przez nową bandę, która podpaliła 6 samochodów i pobiła podróżnych. Pozbyła się Hiszpanja króla, ma teraz wzamian bolszewików.

„Djabelskie koło“ w Londynie. Człowiek współczesny, pracujący nieraz ciężko, pragnie jakiejś rozrywki, przyjemności, któreby mu kazały zapomnieć choćby na chwilę o troskach i pracy. Tem też da się wytłumaczyć zjawisko ciągłego powstawania najrozmaitszych urządzeń zabawowych, coraz to wymyślniejszych. Przy pomocy techniki, wymyśla się rozmaite „djabelskie koła“, „kolejki górskie, „koła śmiechu“ i t. p.



Pociągającem swą niezwykłością jest wynalezione w Londynie olbrzymie koło z siedzeniami, pomieszczonemi na obwodzie koła. Cała konstrukcja uderza tem, że koło nie jest pomieszczone na pionowej, lecz poziomej osi. Skutkiem tego siedzący w kole, wpleceni dosłownie w nie i patrzą na otoczenie pod nienaturalnym

kątem widzenia. Gdy koło ruszy z miejsca za popędem motoru elektrycznego, zaistne niezwykłych wrażeń doświadczać muszą uczestnicy zabawy. Obrazek nasz przedstawia to ciekawe koło.

RZECZY CIEKAWE.

Jak zachować młodość.

Profesor filozofji w uniwersytecie amerykańskim w Chicago p. J. Carlson, na podstawie swoich badań i doświadczeń wynalazł niezawodny środek przeciwko przedwczesnemu starzeniu się. Według niego receptą jest należycie wykorzystany post. Wedle doświadczeń, przeprowadzonych przez prof. Carlsona, post, uprawiany konsekwentnie w ciągu dwóch tygodni, działa odmładzająco w sposób bardzo zadziwiający. Po odbyciu takiej kuracji głodowej (raz na dzień jeść!) osoby wnet poczuły się nadzwyczajnie świeże i odmłodzone. Następstwem kuracji głodowej jest spotęgowanie kwasów żołądkowych, wpływających doskonale na trawienie. W żołądku następuje lepsza przemiana materji, a organizm odzyskuje normalny ciężar i odmładza się w zadziwiający sposób. Dzięki kuracji głodowej ciało ludzkie nabiera elastyczności i energji.

Ciekawa rzeka.

Olbrzymia rzeka na Syberji Ob jest może jedną z najciekawszych na kuli ziemskiej. Woda jej w zimie staje się trująca, gdyż zawiera tyle żelaza, że lód pod spodem rdzewieje. Ludność tej wody nie pije, a nawet ryby uciekają czemprędzej do oceanu. Dopiero z wiosną, gdy ruszą lody, Ob wypełnia się licznemi dopływami z gór i dolin sybirskich, woda jest zdatną do użycia. Wtedy to ryby napływają takiemi masami w głąb kraju, że fale wyrzucają je na brzeg, rybacy łowią i zwożą całemi furami do domu. Na zimę potężny Ob znowu pokrywa się czerwonawą rdzą... I tak co roku.

Dziwne drzewa.

Na wyspie Jawie rosną drzewa, zwane upasami. Mają śliczne o zielonym połysku liście i smaczne czerwone owoce. Są one zupełnie nieszkodliwe dla zdrowia, gdy tymczasem sok tych drzew jest bardzo trujący; używają go krajowcy do zatruwania strzał. Chemicy europejscy wydobyli z tego soku o białej barwie skondensowaną truciznę, działającą zabójczo na serce, a będącą chyba jedną z najstraszliwszych trucizn roślinnych.

W południowej Rodezji, w Afryce, czczą krajowcy zdawna drzewa, które nazywają tagati. Przypisują mu oni siły nadprzyrodzone. Zastępuje ono im nasze barometry i znacznie dokładniej niż te instrumenty, przepowiada pogodę. Oto tagati na trzy dni przed deszczem zaczyna płakać. Liście jego i gałęzie pokrywają się kroplami wody, które, pomimo żaru słonecznego, kapią nieustannie.

Na wyspach Antylskich koło środkowej Ameryki, rosną drzewa dochodzące do 20 metrów wysokości. Mają one owoce podobne do melonów. We wnętrzu skorupy tego owocu, przed dojrzeniem jego tworzy się lepka, mleczna masa trująca, w której umieszczone są nasiona. Gdy nadchodzi pora dojrzewania, owoce z głośnym trzaskiem pękają i strzelają ziarnami. Hałas, jaki czynią przy tej sposobności, sprawia wrażenie kanonady oddziału żołnierzy. Częstokroć się zdarza, iż nieostrożny człowiek otrzymuje uderzenie po głowie. *Czesław Wośkowski.*

Koral.

Jednem z najciekawszych żyjątek na świecie jest koral. Któż z nas nie zna korali? Wszak widzimy je niemal codziennie na szyjach naszych uroczych dziewuszek. Ale korale te nie są właściwie koralami, ale tylko odchodami małego stworzeńka, żyjącego w morzach. Stworzeńko to przyczepia się do dna morskiego w głębokości 50 do 200 metrów i tam całem ciałem wchłania pokarmy w siebie. Wydzieliny swe pozostawia pod sobą i te z czasem przemieniają się w wapienną masę, z której potem robi się korale.



Masa, wydzielana przez owe zwierzątka, posiada różne kolory: najcenniejszy różowy, znany nam dobrze czerwony i biały, którego w morzach jest tak wielka ilość, że niejednokrotnie tworzy tak zwane wyspy koralowe. W morzu Czerwonem, a szczególnie w oceanie Spokojnym, koralowce wytwarzają masę bronzową lub zieloną, nie mającą żadnego blasku, a więc wcale nieużywaną.

Osobliwością są koralowe wyspy zwane Atollami, przedstawiające obrączkę lądu, otaczającą płytką lagunę. Ściany takich wysp wzrastają od bardzo głębokich gruntów, czasem od 1000 metrów, aż ponad powierzchnię morza. W gęstwinie koralowych lasów, wyrastających piętrowo jedne nad drugiemi, żyją znowu całe roje innych skorupiaków, a wszystko zamierając z czasem i zapełniając szczeliny piaskiem i żwirem muszlowym, tworzy nareszcie ląd stały, na którym zieleni się roślinność naniesiona prądami morza.

Sztuczne życie.

Mimo, że nauka sięga już dzisiaj aż do głębi tajników przyrody, że poznała w protoplaźmie pramaterjał wszelkiego życia ziemskiego, nie udało się jeszcze nikomu zbudować choćby najmniejszej żyjącej komórki Ameby (pełzaka) lub innego najprymitywniejszego żyjątka.

Gdyby jedynem znamieniem życia był ruch, mogłaby się nauka poszczycić tworzeniem istot żyjących. Prof. O. Lehmann odkrył takie twory w postaci kryształków płynnych. Wystarcza do pewnych rozczynów dodać nieco ługu mydlanego, ażeby pobudzić twory te do rozpoczęcia pracy twórczej. Zachowują się one zupełnie tak samo jak bakterje. Podłużne laseczki, okrągłe bryłki pojawiają się w zdumiewającej różnorodności, obracają się naokoło swej osi, wiją się jak węże, żrą z pozazdroszczenia godnym apetytem, jakgdyby były żyjącemi zwierzętami. Jeżeli między te drobnoustroje dostanie się kryształek większy, pożera on mniejsze, podobnie jak się to dzieje w walce o byt w świecie zwierzęcym. Mimo tych tajemniczych właściwości nie odważyła się dotąd nauka twory te zaliczyć do świata organicznego.

Aczkolwiek człowiek niezdolny jest stworzyć nowego życia, potrafi on jednakże kształtować żyjące

istoty tak, iż w wyniku powstają całkiem odmienne jednostki. Takich cudownych operacyj dokonał biolog amerykański Morgan na drobnych płazińcach (Planaria lugubris). Jeżeli się robaczkowi temu odetnie głowę za oczami, tułów rodzi nową głowę, odcięta głowa natomiast nie tworzy nowego tułowia, lecz zwróconą w przeciwną stronę drugą głowę. Powstaje monstrum z dwóch głów, pozbawione wszelkich innych organów, a potrafiące utrzymać się przy życiu przez kilka tygodni. Biolog monachijski W. Goetsch wytworzył zapomocą podobnych zabiegów płaszczaki o 4 oczach.

Niedość na tem. Badacz amerykański Harrison pociął młode żaby rozmaitych gatunków i złożył poszczególne części w jedno indywiduum. Powstała nowa żaba-fenomen. Rekord jednakże zdobył W. Goetsch, który złożył z rozmaitych indywiduów nowego polipa, który posiadał właściwości rozmnażania się.

Nauka nowotwory te nazywa chimerami.

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Franciszek Hornik** w W.: Otrzymałem i zacząłem czytać. Po przeczytaniu dam decydującą odpowiedź. Początek dobry i zaciekawiający, przypuszczam, że i ciąg dalszy taki będzie. — **Władysław Mikosz** w U. S.: Obydwa artykuły („Powrót" i „Jak liście gnane wichrem jesiennnym) w miarę miejsca zamieścimy. — **Wincenty Kula** z M. K.: Na jednej pocztówce nadesłał Pan dwie sprawy: redakcyjną i administracyjną. Pocztówka poszła więc do Administracji, a gdy ją Redakcja otrzymała, numer był już wydrukowany. — **Józef Górecki** w K., **Józef Rusin** w B.: Z zagadek w miarę miejsca skorzystamy. — **Józef Pachołek** w K.: Wierszyk się nie udał. W koszu. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Z nadesłanych prac skorzystamy. Dzięki! — **Olek Smaza** w K: Pisze Pan: „Raz jesienią po dniu smutnym, gdy mi się nudziło, (Słońce po wichrze okrutnym krwawo zachodziło), widząc książkę poniszczoną... tytuł: „Maciek Bzdura", czytam z uwagą skupioną dzieje bohatera, który w wojsku przedtem służył za cesarskich czasów, gdzie i przygód różnych użył i innych hałasów. Bo to Maciuś tęga głowa, kiedy żarty prawi, ale mądra jego mowa każdego zabawi. Kiedy książkę przeczytałem, śmiałem się dowoli. Odtąd stałym sam zostałem czytelnikiem „Roli", bo w tem piśmie przyjaciela szczerego znajduję, a obecnie co niedziela nim się rozkoszuję". W podobny sposób wielu z naszych obecnych przyjaciół stało się stałymi czytelnikami „Roli". — **Staszek (Stanisław Golachowski)** w Ł.: Wierszyki Pańskie są dobre, a nie zamieściliśmy ich dotychczas, jedynie z braku miejsca. Na druk czeka w teczce redakcyjnej kilkaset wierszy, nie możemy ich zamieścić, bo „Rola" jest zbyt szczupła, aby mogła pomieścić większą ilość wierszy. — **Zotik Łopuch** w B.: Wierszyk słaby. „Cecora" zajmie jeszcze kilka numerów, „Na bezludnej wyspie" już kończymy. — **Piotr Wenc** w Ś.: Trzeba być bardzo ostrożnym — najlepiej tworzyć z własnej fantazji, a unikać opracowywania tematów zasłyszanych. — **Marja Waller** w Rz.: Dokończenie powieści otrzymaliśmy przed samem zamknięciem numeru. Dzięki. — **Jordanek Jan** w B: Czy to posłaniec gminny, czy wójt, czy też kierownik składnicy pocztowej, jeżeli „Rolę" zatrzymuje dla siebie i jeszcze drugim wypożycza, to powinien być ukarany. Tem więcej, jeżeli to jest ubogi inwalida, to powinien swoje funkcje uczciwie wykonywać, aby nie stracił kawałka chleba. Przy nadużyciach w doręczaniu „Roli" bierzemy w obronę każdego prenumeratora, który tylko nam napisze, że mu się krzywda dzieje, robiąc doniesienia czy to do Dyrekcji Poczt, czy też do odnośnego Starostwa. Życzenie spełniliśmy. Cześć!

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Urzędnik.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Zapiski.
☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	Pierwiastek chem.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Zasłona.
■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Kraj w Europie.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Palenisko inaczej.
☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	Imię żeńskie.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Kraj w Europie.
■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Imię żeńsaie.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Imię żeńskie.
☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	Imię męskie.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Zabezpieczenie.
■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Figura geometrycz.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Miasto polskie.

Litery zamiast kwadracików czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko pisarza polskiego.

2. Zagadki.

(Ułożył Jan Wojnar).

I.

W polu rośnie owa rzecz,
Brzmi jednakowo wprzód i wstecz,
Z trzech liter się tylko składa,
A dziatwa ją chętnie jada.

II.

Nazwą kraju niewielkiego
Jestem, a kiedy do tego
Z przodu literę dodacie
Znów kraj drugi otrzymacie.

III.

Dwa znaczenia w jednem słowie,
Jak się ono, zgadnij, zowie,
Pierwszem liczbę oznaczamy,
Drugie koło domu mamy.

3. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

1. Jaki kat jest powieszony na publicznem miejscu?
2. Jaki wiek nie musi mieć sto lat?
3. Jaki dzień trwa nkjdłużej?
4. Jaki kół potrzebuje pożywienia?
5. Jaki wiec jest na łące?
6. W jakiej sieni kopie się ziemniaki?
7. Jaka noc może trwać w dzień?

4. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Franciszek Krzanowski.

I.

a	a	a	a	Tkanina.
a	a	d	d	Fusy.
m	m	n	o	Boli.
o	r	r	s	Imię męskie.

II.

a	a	k	n	Okrywa drzewa.
n	o	o	o	Gaz.
o	r	r	w	Doły.
z	ż	y	y	Roślina.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 3-go lipca b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 24 „Roli": 1. Logogryf: Wacław Sieroszewski. 2. Zagadki: I. Tabak-kabat. II. Barok-korab. 3. Układanki historyczne: Jan Sobieski. 5. Łamigłówka trójkątna: Psie pole.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Józef Górecki z K., Marta Byrska z Z., Wojciech Lorenc z Ł., Krystyna Górecka z K., Jan Gara z W., Wincenty Kula z M. K., Józef Wrona z B. N., Rudolf Bieroński z Cz., Józef Cieplik z K., Piotr Wenc z Ś., Teofil Burman z K., Władysław Gąsienica z Z., Antoni Sordyl z Z.

Nagrody wylosowali pp: Józef Wrona z B. N. i Marta Byrska z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wykształcony generał.

Po rozbiorach Polski starał się rząd rosyjski stłumić i obniżyć podnoszącą się oświatę w Polsce. Nadzór nad uniwersytetami powierzył generałom rosyjskim, takim, którzy mieli z wyższemi naukami tyle styczności — co miotła z piórem. Pewnego razu przybył taki uczony generał, by zbadać czy w bibljotece niema zakazanych książek. Na wszystko, co mu oprowadzający profesor wskazywał, mówił, kiwając głową: Czytałem!

Wreszcie w zakątku bibljoteki zauważył stos papieru.

— A to co za dzieło? — spytał generał.

— To... bibuła — objaśnił profesor.

— Czytałem, czytałem — rzekł poważnie wysoko wykształcony generał.

Reszta.

— Co ty mówisz żonie, gdy przyjdziesz późno w nocy do domu?

— Ja mówię „dobry wieczór“, a resztę to już ona potem mówi sama.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 23 czerwca b. r.

Pszenica	30·00—30 50	Słoma długa	5·00—6·0,
Żyto .	27·00—27·75	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	30·00—31·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	43·50—44·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	53·00—54·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	16·50—17·00
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	17·00—17·50
Koniczpastew.	18·00—20·00	Mąka czerw.	20·50—21·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 23 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 1·06 do 1·18 zł.	Jałownik	od 1·05 do 1·15 zł.
Woły . .	od 1·12 do 1·25 zł.	Cielęta .	od 1·15 do 1·30 zł
Krowy .	od 0·96 do 1·10 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·27 do 1·38 zł.	Nierogaciznę lżej wagi	od 1·70 do 1.80